

# MIEŁOŚĆ POD CHOINKĄ

*Judith*  
McNaught

*Jude*  
Deveraux

*Arnette*  
Lamb

*Jill*  
Barnett

Przełożyła W. Szabo



**Jill Barnett**

Daniel i anioł

*Dla Emmy,*

*jedynego anioła, jakiego znam.*

był wymarzony dzień do czynienia cudów.

Połyskliwy firmament rozciągający się nad rajem był

równie złocisty jak trąba Gabriela, a w niebiańskim powietrzu unosiło się nikle echo kantyczek. Obłoki, białe i pierzaste niczym gęsi puch, znaczyły najświętszy z rejonów nieba - dokąd żaden anioł nie śmiał się zapuszczać.

Lillian - od niedawna w anielskim nowicjacie - stanęła przed Perłową Bramą. Spojrzała w lewo, potem w prawo, a w końcu, na wszelki wypadek, zerknęła w górę.

Nikogo w zasięgu wzroku!

Z wyrazem determinacji na twarzy podwinęła rękawy powłóczystej białej szaty, napięła palce wyciągniętych rąk i spróbowała dokonać cudu, choć zostało jej to kategorycznie zabronione.

Chwilę później rozległ się ogłuszający huk, który zapewne wstrząsnął posadami raj.

Huraganowy impet wybuchu sprawił, że przepływające chmury zaczęły raptownie zderzać się ze sobą, Lillian zaś straciła równowagę i wylądowała na plecach. Przez chwilę, oszołomiona, leżała na podskakującym obłoku,

/, rękami i nogami rozrzuconymi na boki.

Powoli zaczął ją zasnuwać ciemny dym. Odgarnęła t twarzy kosmyk jasnych, niemal srebrzystych włosów, zamrugała powiekami, po czym spojrzała w rajski firma-185

ment. Najpierw poruszyła palcami stóp, potem rękami i nogami.

Wszystko w porządku... Żadnego złamania.

Usiadła gwałtownie, aż świetlista aureola opadła jej na oczy. Zdecydowanym ruchem podsunęła ją na czubek głowy, po czym naciągnęła szatę na gołe nogi.

W tej samej chwili, na podobieństwo śniegowych płatków, przefrunęły jej przed oczami trzy perłowo połyskujące pióra. Lili zerknęła przez ramię i obrzuciła krytycznym spojrzeniem swoje pomięte skrzydła. Wyprostowała się i otrząsnęła, żeby doprowadzić je do jako takiego porządku.

Usłyszała za plecami stłumiony jęk i odwróciła głowę.

- Czy to ty, Florido? - spytała z przestraczeniem.

Dobiegło ją ciężkie westchnienie.

- Gdzie jesteś?

Z pobliskiej ciemnej chmury wynurzyły się dwie bose stopy.

- Ach, tu się ukryłaś.

Stopy zadyndały parę razy w powietrzu, a potem zniknęły tak, jak znikają stopy kogoś wywijającego kozła. Moment później pojawiły się ciemne włosy Florie, która z pomocą Lili wypęzła z gęstego mroku chmury. Uklęła na chwilę i z opuszczonymi smętnie skrzydłami zaniósła się kaszlem.

Lilii delikatnie klepała przyjaciółkę po plecach, póki ta nie przestała się krztusić.

- Co się stało? - spytała w końcu Florie, spoglądając na Lillian zażawionymi oczami.

-Nic.

Florida zaczęła powoli rozglądać się wokół i nagle zastygła z przerażenia.

- O, rany! Jednak coś się stało! - wykrztusiła, wskazując palcem ku zachodowi. - Tylko popatrz, co nawyczy-niałaś!

186

Lilii odwróciła się we wskazanym kierunku i niemal umarła - po raz drugi.

- Uszkodziłaś Perłową Bramę!

Lilii zakryła twarz dłońmi, jęknęła głucho, powoli rozsunęła palce i nieśmiało zerknęła przed siebie.

Serce w niej zamarło. Powłócząc nogami ruszyła, by obejrzeć skutki swojego kolejnego, katastrofalnego wyczynu. W głowie miała kompletną pustkę, nie była zdolna wykrztusić z siebie słowa. Mogła jedynie wpatrywać się tępo w swoje dzieło.

Wejście do najświętszego miejsca we wszechświecie przedstawiało sobą obraz nędzy i rozpacz. Wrota wisia

ły przekrzywione na zawiasach z dwudziestoczczeroka-ratowego złota, powyginanych teraz na kształt bumerangu.

Obie części bramy, w kształcie anielskich skrzydeł, jeszcze do niedawna schodziły się w środku, gdzie - wedle zasad świętej symetrii - były spięte wysadzaną brylantami zasuwą.

- Gdzie się podziała zasuwa? - wyszeptała z trwogą Florie.

Lilii spojrzała pod nogi, a tam, pośród odłamków drogocennych pereł, skrzył się brylantowy pył. Przygryzła wargę i spuściła smętnie głowę.

- Myślę, że tutaj - odparła, wskazując na połyskliwe drobiny. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. - W każdym razie gdzieś w tej okolicy.

Florie pochyliła się i zaczęła zgarniać brylantowe okruchy.

- Tylko tyle?

Lilii spojrzała z przestachem na białe drobiny, z których przyjaciółka usypała niewielką piramidkę.

- Święty Piotr tak się rozgniewa, że z pewnością zacznie miotać piorunami. A czy w ogóle pomyślałaś...

Florida pochyliła się do ucha Lilii i ciągnęła szeptem -

..jak On zareaguje? Wymyśli dla ciebie straszną karę.

187

Jeszcze gorszą niż to polerowanie srebrzystych poświat chmur, które zadał ci jako pokutę poprzednim razem.

- Cóż - wyrzuciła z siebie pospiesznie Lilii - święty Piotr nie będzie mógł mnie ukarać, jeżeli się nie dowie, kto zniszczył bramę. - Odwróciła się gwałtownie, unosząc białą szatę. - Szybko! Za mną! - zakomenderowała i pu

ściła się biegiem.

- Poczekaj!

- Rusz się, Florie! - wykrzyknęła Lilii przez ramię. - Bo jeszcze święty Piotr pomyśli, że to twoja robota!

Florida zbladła jak płótno, po czym w okamgnieniu pomknęła za przyjaciółką.

Z trzepotem skrzydeł przeskakiwały z obłoku na ob

łok, aż w końcu Lilii uznała, że idealną dla nich kryjówką będzie puchaty cumulus obrzeżony srebrzyście połyskującymi soplami. Chwyciła Florie za rękę i bezceremonialnie wciągnęła do wnętrza chmury.

Florie tymczasem rozejrzała się niepewnie na boki.

- Myślisz, że święty Piotr nas tu nie znajdzie? - spyta-

ła z wahaniem.

- Na pewno nie. To doskonała kryjówka. Odkryłam ten obłok, gdy przez wiele miesięcy

polerowałam wszystkie po

światy. Nikt nie wie, że można się przecisnąć przez sople.

- Jesteś pewna?

- Ukryłam się tu poprzednim razem.

- Ach, tak. - Florie posłała przyjaciółce wymowne spojrzenie. - To znaczy wtedy, gdy uczyłaś się latać i wpa-kowałaś się w drabinę Jakubową?

Lilii smutnie zwiesiła głowę.

- Nic złego by się nie stało, gdyby akurat nie stali na niej wszyscy archaniołowie.

- Gabriel do dziś ma problemy z aureolą.

- Wiem. Nadal nie mam odwagi spojrzeć mu w oczy.

Lilii zerknęła ponuro na przyjaciółkę, po czym wyznała:

- Właściwie... nie to miałam na myśli.

188

Florie spojrzała na nią podejrzliwie.

- Co jeszcze zmalowałaś?

- A obiecujesz, że nikomu nie powiesz?

Florie przeżegnała się uroczyście.

- Przysięgasz na śmierć?

- Przecież ja już umarłam.

Lilii wykrzywiła usta.

- Ja też. Ale jeśli ktoś by się dowiedział o tych starożytnych zwojach...

- Chcesz powiedzieć, że gdzieś je posiadaś? Nasze naj

świętsze zwoje?

Lillian potwierdziła skinieniem głowy.

- Ale jakim cudem mogłaś je zgubić?!

- Hm... właściwie to ich nie zgubiłam.

Florie spojrzała na nią ostro.

- Po prostu wyslizgnęły mi się z dłoni i poleciały w dół

- wyznała Lili.

- I co?

Twarz Lili powlokła się niezdrową szarością.

- Wpadły w głębinę Morza Czerwonego.

Florie aż rozdziawiła usta z wrażenia.

- Chciałam je tylko przesunąć... Tyle że się potknęłam. - Po dłuższej chwili milczenia Lili dziarsko zadarła głowę.

Ale niewątpliwie ktoś je znajdzie... kiedyś... w przyszłości...

Florida spojrzała sceptycznie na przyjaciółkę, a po chwili zadrzała. Wysunęła się spomiędzy długich, zmro

zonych sopli i popatrzyła wokół.

- Jesteś pewna, że nikt nas tu nie przyuważy?

Lili poklepała ją uspokajająco po dłoni.

- Możesz mi zaufać. Sama popatrz, jak nasze skrzydła sta-piają się w jedno ze srebrzystością lodu. Nasze szaty też są biali!. A moje włosy tak jasne, że niczym nie odróżniają się od tła.

W tej samej chwili Lili zerknęła na ciemne loki Florie i w zamyśleniu ściągnęła brwi.

- No cóż. Jednak na twoim miejscu za bardzo bym się 189

nie wychylała - zdecydowała, wpychając głowę przyjaciółki pod skrzydło.

Niemal w tym samym momencie Florie kichnęła dono

śnie, po czym potarła energicznie nos.

- Aż tak ci zimno? - zatroskała się Lili.

- Nie. To z powodu tego - odparła Florie, unosząc w górę jedno z piór, które wypadły ze skrzydła przyjaciółki.

Lilii wyraźnie się zasepiła.

Tymczasem Florida pogłaskała ją czule po skrzydłach i natychmiast ku ziemi sfrunęły kolejne pióra.

- To nie twoja wina, że jesteś jedynym aniołem, który linieje.

Lilii opuściła skrzydła i w zamyśleniu oparła podbródek na dłoni.

- Pewnie dlatego nie możesz nauczyć się latać.

Lilii westchnęła głęboko.

- Ale linieniem nie można już wytłumaczyć faktu, że nie umiem zaśpiewać czysto choćby jednej niebiańskiej nuty, zagrać na trąbce czy dokonać najdrobniejszego cudu, Obie zamilkły i pograżyły się w zadumie. Wkrótce w ciszy rozległy się słodkie, liryczne tony harfy. Rozbrzmiewały coraz głośniej. I bliżej.

Florie jęknęła i obie szybko schowały głowy.

- Gloo-ooo-ooo-ooo-ria! In ex-eeł-siiiiis De-ee-o! - wy

śpiewywały czyste głosy.

- Cii! - Lilii przytknęła palec do ust i przysunęła się bli

żej Florie. - Chór archanielski!

Chwilę później rozległo się uderzenie gongu i grupa aniołów zatrzymała się tuż na wprost kryjówki Lilii. Obie nowicjuszki zamarły w bezruchu, gwałtownie wstrzymując oddech.

Za moment rozległo się głośne „brzdęk”, a potem jeszcze głośniejsze „bang”.

Wysoki majestatyczny archanioł o imieniu Mezopotamia skrzywił się i obejrzał dookoła.

190

- Czy mi się zdaje, czy popękały struny twojej harfy, Israfel?

Israfel, dużo niższa i drobniejsza, spojrzała ze ściągniętymi brwiami na swój złoty instrument.

- Cztery z nich. Tuż przed chwilą. Tylko popatrzcie.

Archanioły wbiły wzrok w harfę, a wtedy jedna po drugiej, strzeliły następne struny.

i! Zapadło dłuższe milczenie, a w końcu Mezopotamia zaczęła pilnie rozglądać się po okolicy.

- Gdyby nie to, że nikogo nie widzę, przysięgłabym, że Lillian jest gdzieś w pobliżu.



Teraz już wszystkie archanioły zaczęły wodzić wzrokiem po pobliskich obłokach.

Niemal w tym samym momencie rozległ się potężny huk gromu. A zaraz po nim następny.

Wszyscy zastygli z przerażenia.

- Moja brama! - Po rajcu głośnym echem niósł się potężny głos świętego Piotra. - Moje święte wrota!

Przez moment panowała idealna cisza, a natychmiast potem...

- Lii-liii-aaan!

Lilii zbladła jak płótno. ,

- Lii-liii-aaan! Chodź tu do mnie! Natychmiast!

- O-o - szepnęła Florie.

- Cii! Tutaj na pewno nas nie znajdzie.

Tymczasem święty Piotr wykrzykiwał jej imię. I za każdym razem coraz głośniej.

Jeden z lodowych sopli pękł z trzaskiem i z delikatnym brzękiem wylądował u stóp Lilii. Przez moment cisza zdawała się ogłuszająca.

A potem rozbłysła migotliwa błyskawica - tak oślepiająca, że aż przyćmiła słońce. Mury Jerycha nie popękały równie szybko, jak trzaskające wokół Lilii i Florie szkliste sople. Obie nowicjuszki spadły na dno cumulusa.

W chwilę później cały obłok się rozplynął.

191

Lillian i Florida niemal równocześnie podniosły głowy i napotkały karcące spojrzenie przenikliwych oczu świętego Piotra. Stał tuż przed nimi, wyższy niż drzewo życia, z założonymi na piersi rękami. Stopą, obutą w złoty sandał, wystukiwał niecierpliwe staccato.

Lilii przygryzła nerwowo wargę, uniosła dłoń i pomachała niemrawo palcami.

- Witam cię, panie.

Święty Piotr milczał gniewnie.

- Wiesz, przenajświętszy, właśnie o tobie myślałam -

oznajmiła, podnosząc się na nogi.

Spojrzał na nią zmrużonymi oczami.

- Dosłownie chwilę temu mówiłam do Florie: „Florie, załóż się, że święty Piotr się za nami rozgląda, ale tutaj na pewno nas nie znajdzie”. Prawda? - Posłała przyjaciółce ostrego kuksańca w bok i Florie natychmiast zaczęła gorliwie kiwać głową, na podobieństwo znerwicowanego dziecięcia.

Lilii zerknęła nieśmiało na groźną postać przed nimi.

- A właściwie, jak nas tu znalazłeś, panie?

Święty Piotr uniósł dłoń, w której trzymał kilka białych piór, po czym powoli rozwarł palce i pozwolił, żeby opadły na ziemię. Cały czas przy tym spoglądał na Lilii spod oka.

- Ktoś zniszczył rajske wrota.

- Chcesz powiedzieć, panie, że kiedy wraz z Florie się działaliśmy w tym obłoku, Perłowa Brama - twoja Perłowa Brama - została zniszczona? Jakże, na wszystko co naj-

świętsze, coś podobnego mogło się wydarzyć? Zabłąkana błyskawica? Nieznane ciało niebieskie? Wielki Wybuch?

Święty Piotr bez słowa wyjął coś ze splątanych jasnych włosów Lilii, po czym podsunął jej to pod nos.

Okruch perły.

Lillian mimowolnie wykrzywiła usta.

Tymczasem święty założył ręce za plecy i zaczął przechadzać się tam i z powrotem.

192

- Przecież zabroniono ci czynienia jakichkolwiek cudów - powiedział po chwili. - Odwrócił się i przeszył ją ostrym spojrzeniem ciemnych, mądrych oczu. - Bo, jak przypuszczam, to właśnie próbowałaś zrobić.

Lilii bez słowa skinęła głową.

Święty Piotr znowu zaczął chodzić tam i z powrotem.

- Tak właśnie myślałem - podjął w końcu. - Anioły są powołane do tego, by ochraniać i prowadzić ludzi. - Zatrzymał się naprzeciwko niej. - A nie... zmiatać ich z powierzchni ziemi!

Lilii wbiła wzrok w bosc stopy i wyszeptała:

- Nie próbowałam po raz kolejny sprowadzić deszczu.

Nie po tamtej burzy z piorunami... - zadrżała na samo wspomnienie jednego ze swoich wyczynów - ...i po tym strasznym pożarze Rzymu. - Powoli uniosła głowę i spojrzała świętemu w oczy. - Nigdy

nie zrobiłabym czegoś podobnego.

Święty Piotr popadł w zadumę, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Lillian bardzo pragnęła, żeby jej uwierzył. Musiał jej uwierzyć. Przecież nie miała żadnych złych zamiarów. Nigdy nie chciała nikogo skrzywdzić czy czegokolwiek zniszczyć.

Po kilku minutach, które były jak wieczność, święty wreszcie odchrząknął.

Tymczasem Lillian, ze spuszczoną głową, pokornie czekała na wymierzenie kary.

- Obawiam się, że tym razem już nic nie mogę dla ciebie zrobić.

Spojrzała na niego przerażona.

- Nic?

• Nic - powtórzył.

- O, nie! - jęknęła Florie.

Archanioły zaczęły szeptać między sobą. Lili natomiast stała jak ogłuszona, niezdolna się poruszyć czy wykrztusić z siebie słowa.

193

- Błagam cię, panie - odezwała się w końcu Florie. -

Ona nie chciała tego zrobić. Błagam.

Święty Piotr zdecydowanie pokręcił głową.

- Nic nie mogę poradzić.

Rajskie światło nagle przygasło, podobnie jak naiwne przekonanie Lillian o swojej własnej mocy. Nie wiadomo skąd napłynęły ciemne, bure chmury. Nieszczęsna winowajczyni rozejrzała się po mrocznym firmamencie i zrozumiała, że nie ma już dla niej nadziei. W sercu czuła wielką pustkę, w kącikach oczu palące łzy wstydu.

Święty Piotr wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość.

- Od tego dnia... Lillian nie jest mile widziana w raju.

Lili powoli podniosła głowę - wszystko rozmywało się jej przed oczami. I niemal w tym samym momencie rozległ się głośny brzęk.

Jej aureola zniknęła.

A zaraz potem usłyszała wysoki, przeszywający gwizd i nie miała już skrzydeł.

Święty Piotr spojrzał jej prosto w oczy.

- Powrócisz na ziemię.

U jej boku Florie pochlipywała cicho, święty tymczasem uniósł prawą rękę i położył na głowie Lili.

- Do czasu i miejsca, do którego odsyłamy upadłe anioły.

*Wszystkie anioły przybywają do nas w przebraniu.*

James Russel Lowell

*Nowy Jork*

*grudzień 1886*

Usłyszał jedynie głośny krzyk.

- Wbiegła wprost pod koła powozu, panie Stewart!

Przysięgam!

D.L. Stewart wbił wzrok w skuloną postać kobiecą le

żącą pośrodku Madison Avenue, a chwilę później klęczał

na lodowatym bruku i sprawdzał jej puls.

- W jednej sekundzie jezdni była pusta, a w następnej ta kobieta po prostu się znalazła tuż przed koniem.

Ja... ja...

- Uspokój się, Benny. Ona nie umarła. - D.L. uniósł kobietę w ramionach. - Zabiorę ją do domu, a ty tymczasem jedź po doktora. Spiesz się.

Odwrócił się i wszedł na szeroki chodnik pokryty brejowa-tym śniegiem, od którego odbijało światło gazowych latarni.

Usłyszał, jak jego własny powóz szybko oddala się ulicą, ale turkot kół zdawał się dobiegać gdzieś z bardzo daleka, bo ogarnęło go dziwne przeświadczenie, że teraz na świecie istnieją tylko on sam oraz kobieta, którą trzymał

195

na rękach. Było to tak obce mu uczucie, że ze zdumieniem spojrzął na jej twarz.

W jej rysach nie zauważył jednak niczego, co wyja

śniałoby owo niezwykle wrażenie. Dziewczyna miała bardzo jasną cerę - niemal równie jasną jak jej srebrzystoblond włosy, ostro kontrastujące z ciemną strużką krwi płynącą z kącika ust oraz z głębokich zadrapań na skroni i policzku.

Na ramieniu opierał mu się czerwony kapelusz, wciąż zawiązany pod szyją kobiety czarnymi wstążkami, wystrzępionymi z tej samej strony, z której jej żakiet i spódnicę poszarpały ostre kamienie jezdni.

Oddychała z trudem i płytko, ale poza tym nie wydawała z siebie żadnego dźwięku - żadnego jęku bólu. Wo-kół niej unosił się wyraźnie lekki aromat cytrusów, co wydało mu się wyjątkowo dziwne - szczególnie po tak przykrej przygodzie.

Chwilę później znalazł się przed frontem swojego domu - eleganckiej kamienicy obłożonej marmurem. Wbiegł

szybko po schodach i kopnął parę razy w drzwi.

Nikt nie odpowiedział. D.L. Stewart zaklął głośno pod nosem, a potem pochylił się niezdarnie i łokciem nacisnął

klamkę. Ciężkie drzwi szczęśliwie ustąpiły.

Gdy tylko znalazł się w środku, natychmiast wrzasnął

na całe gardło:

- Gage!

Nazwisko lokaja poniosło się głośnym echem przez trzy piętra domu i w końcu dotarło na mansardę. Gage puścił się biegiem w dół po schodach i, zdyszany, znała/J

się w holu.

D.L. wbił w niego ostre spojrzenie.

- Gage!

- Słucham pana?

- Płacę ci fortunę za samo otwieranie tych cholernych drzwi. - D.L. wymownie zerknął w stronę biblioteki.

196

- Tak jest, proszę pana. - Gage już chwycił za klamkę, jednak zatrzymał się z uniesioną dłonią. - Ale tam czeka pan Wallis.

- Nie szkodzi - mruknął D.L. - Być może on będzie wiedział, co z tym fantem zrobić.

Głowa pękała jej z bólu. Niemal tak samo jak wtedy, gdy wyrznęła w drabinę Jakubową. A do tego połowa twarzy paliła ją teraz żywym ogniem.

Ktoś dotknął jej ramienia. Usłyszała cichy jęk. Po chwili dotarło do niej, że to chyba jej własny głos.

Wyczuwała obecność ludzi - stali obok, może obstąpili ją kołem - ale nie potrafiła się zmusić do uniesienia powiek. Już samo oddychanie kosztowało ją dostatecznie dużo wysiłku.

- Odzyskuje przytomność - oznajmił jakiś mężczyzna miękkim głosem.

- Proszę się dowiedzieć, kim jest.

W tym drugim głosie nie było ani cienia miękkości.

Brzmiał silnie i władczo.

- Pan Bóg? - wyszeptała. - Znam ten głos. Przemawiasz do mnie, Panie Boże!

Ledwo to powiedziała, ktoś parsknął śmiechem. Ktoś trzeci.

- Trafnie cię oceniła. D.L. Stewart - Bóg Mamony.

To musiał być jakiś bardzo cyniczny osobnik.

Otworzyła w końcu oczy, ale widziała tylko rozmazane, ciemne sylwetki. Oblizała usta, które wydawały się spieczone i spuchnięte, po czym szepnęła:

- Moja twarz...

- Tak, moja droga?

- Piecze.

- Wiem, ale wszystko będzie w porządku. To tylko drobne zadrapania. Jestem lekarzem. - Szorstka, męska dłoń dotknęła delikatnie jej ręki. - Czy możesz nam powiedzieć, kim jesteś?

197

- Lillian.

- Doskonale, Lillian. - Miły człowiek odsunął się, po czym powiedział: - Nie widzę żadnych poważnych obra

żeń. Wie też, kim jest.

- Lillian. A dalej? - spytał władczy głos.

- Po prostu Lillian. Lili.

- A skąd pochodzisz?

- Z raju.

Znowu rozległ się śmiech i cyniczny mężczyzna rzucił

kpiąco:

- Przynajmniej wiemy, że nie mieszka w Nowym Jorku.

- Zamknij się, Karl.

- Och, chciałem tylko rozładować sytuację, D.L.

- Upadłam - wymamrotała Lili.

- W żadnym razie, moja droga. Zostałaś potrącona przez powóz. - Miły mężczyzna uściśnął jej dłoń.

- Nie. Nie, pan nic nie rozumie. Ja jestem upadła. - Poczula przerażenie i do oczu napłynęły jej łzy. Wreszcie dotarło do niej, że okryła się hańbą. - Nie chciałam zrobić nic złego. Nie chciałam.

- To nie twoja wina, moja droga. Wypadki się zdarzają.

- Nie! Ja tylko chciałam być taka, jak inni. Wszystkim przychodzi to z taką łatwością. Ależ mi wstyd.

- Poczula gorące strużki spływające po skroniach. - Już nie jestem pośród aniołów. Zabrano mi skrzydła. I aureolę. A była taka piękna. Zniknęła. Wszystko zniknęło... - dodała ledwie słyszalnym szeptem, po czym zanosła się płaczem.

- Wpadła w histerię.

Lili tymczasem łkała żałośnie.

- Wszystko, co najpiękniejsze... Jestem upadła...

Teraz tuż nad nią stanął kto inny. Wyczuwała wyraźnie jego przytłaczającą obecność. Powietrze wydawało się drgać, pojawiło się napięcie.

- Przestań płakać, Lillian. Natychmiast.

198

Wciąż wstrząsał nią szloch. Nie mogła się powstrzymać.

- Uspokój się!

Bardzo się starała. Wzięła głęboki oddech.

- Dość tego!

- Panie Stewart, krzyk tu nie pomoże. Proponuję poło



żyć ją do łóżka, podam jej łagodny środek uspokajający.

Potem opatrzę zadrapania na twarzy i ramieniu. Ta dziewczyna przede wszystkim potrzebuje snu. Sen to najlepsze lekarstwo.

Poczuła, jak unoszą ją silne ramiona. Otworzyła oczy i Ujrzała wysoką postać pochylającą się nad kanapą. Była to jedynie zamazana sylwetka. Silne ramiona poderwały ją w górę, a wówczas jęknęła z bólu.

Mężczyzna natychmiast zamarł w bezruchu.

Lilii zamrugła powiekami i wreszcie zobaczyła wszystko wyraźniej. Przed sobą dostrzegła twarz o tak ostrych rysach, że aż ją zatkało z wrażenia.

To z pewnością nie był Bóg. Prawdę mówiąc, przypominał samego szatana.

Krótkie, ciemne włosy miał zaczesane do góry nad wysokim, surowym czołem; do tego brwi czarne jak rzeka Styks i policzki pokryte ciemnym cieniem.

Jego twarz składała się z samych kantów - jakby ktoś wyciosał ją z granitu. Podobnych fizjonomii nie widywało się w raj, gdzie za piękne uchodziło wszystko, co lekkie, zwiewne i miękkie.

A jednak było w tych surowych rysach coś niezwykle pociągającego. Mroczny urok, który wydawał się niezgłębiony. Mężczyzna patrzył na nią oczami czarnymi jak onyks. I nagle w tym spojrzeniu zauważyła cień zdradzający, że ma przed sobą zagubioną duszę.

On tymczasem odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju tak lekkim krokiem, jakby trzymał w ramionach istoty ważącą nic więcej niż piórko.

199

Zaczął ją wnosić po niekończących się schodach. Z surowym, beznamiętnym wyrazem twarzy posłał jej jeszcze tylko jedno taksujące spojrzenie.

Wszedł do pokoju, którego drzwi otworzyły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zanim jeszcze zdążyli do nich podejść. Lilii kątem oka ujrzała siwowłosego lokaja, po czym znalazła się na elegancko zaślany łóżu.

Skrzywiła się i instynktownie ścisnęła władcze ręce mężczyzny za rękę.

- Czyżbym sprawił ci ból? - rozległ się szorstki głos.

-Nie.

Spojrzał dziwnym wzrokiem na ich złączone dłonie, a w jego oczach pojawił się nieokreślony błysk.

- Ale myślę, że mnie to nie ominie - dorzuciła szeptem.

Zesztywniał i odsunął się gwałtownie.

A potem posłał jej jeszcze jedno nieodgadnione spojrzenie, po czym odwrócił się i wyszedł z pokoju.

D.L., oparty o framugę drzwi, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, przyglądał się śpiącej dziewczynie. Coś go nieodparcie do tego popychało, choć nie umiałby nikomu wytłumaczyć co.

Nie mógł zasnąć. Samo w sobie nie było to niczym niezwykłym. Ostatnio mało czasu poświęcał na sen. Siłą na-pędową była dla niego praca i niewiele poza nią w ogóle go obchodziło. Zaczynał podejrzewać, że pracował tak dużo, żeby zająć myśli czymś konkretnym i wypełnić czas.

Co prawda niekiedy jeszcze zdarzało mu się odczuwać nikły dreszczyk podniecenia po przeprowadzeniu udanej transakcji, choć osiągnane zyski nie dawały mu teraz szczególnej satysfakcji. Zgromadził już dostatecznie wielką fortunę, żeby być wszechmocnym - jednym z najpotężniejszych.

200

Ta chwila w jej pokoju sprawiła mu tymczasem najczystsza przyjemność, co wydawało się całkowitym nonsensem. Oderwał się od drzwi i stanął przy łóżku.

Do sypialni wpadał blask księżyca oświetlając poduszkę i srebrzyste włosy rozrzucone wokół głowy dziewczyny na podobieństwo aureoli. D.L. pomyślał w tym momencie, że nie pamięta, kiedy ostatni raz zwrócił uwagę na księżycową poświatę, czy też jakiegokolwiek kobiece włosy.

Wyciągnął rękę i dotknął jednego pasma, a potem powoli przesunął po nim palcem. Nie wiedział, jakich włą

ściwie doznań oczekiwał: czy chłodu spowodowanego ich lodowo-srebrzystą barwą, czy raczej niezwyklej miękko

ści jedwabistych loków. Tymczasem poczuł nieprzepartą ochotę, żeby zanurzyć w tych włosach dłoń.

- Czemu patrzy pan na mnie w taki sposób?

Z powodzeniem ukrył zdumienie. Od dawna czynił to w sposób naturalny i instynktowny. I tak często, że w końcu przestał odczuwać jakiegokolwiek emocje. Rzadko się zdarzało, by ktokolwiek zdołał go czymś zadziwić. Jej to się udało.

Spojrzał prosto w zielone oczy, z których biła najczystsza ciekawość.

- Powinnaś spać.

- Ja rzadko robię to, co powinnam.

Pochylił się nad nocnym stolikiem i unióś do góry szklanke wciąż pełną różowego płynu.

- Nie wypijaś lekarstwa.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Rozumiem. - Zdecydowanym ruchem odstawił

szklanke. - Buntownicza dusza.

- Raczej chodząca katastrofa. To właśnie dlatego wpadłam w tę kabałę.

Zerknął na nią bystro, zastanawiając się, czemu jemu, człowiekowi całkiem obcemu, uczyniła tak osobiste wyznanie.

201

- Robienie tego, co trzeba, jest takie... bo ja wiem...

Wyraz jej twarzy jasno zdradzał, że nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa. W końcu westchnęła z rezygnacją i spojrzała mu w oczy.

- Nudne?

- Tak! - rozpromieniła się. - Właśnie! Jakże nudno by

łoby na przykład, gdybym przespała pańską wizytę. -

Gwałtownie usiadła, podciągając poduszkę. - Nie moglibyśmy wówczas pogawędzić.

- Przecież w ogóle nie wiedziałabyś, że tu byłem.

- To prawda. Ale pan by o tym wiedział.

Nie miał pojęcia, co powinien na to odpowiedzieć, wpatrywał się więc tylko uważnie w jej twarz - w twarz dziewczyny, którą nudziły konwenanse. On sam był znudzony wszystkim, zanim wszedł do jej pokoju. Choć nie zamierzał się do tego przyznać.

- A więc, panie Stewart, co oznacza owo „D.L.”?

Wsunęła sobie pod plecy następną poduszkę, szykując się - jak mu się wydawało - do dłuższej rozmowy.

- Daniel Lincoln.

- Słynny prawnik i jeden z prezydentów.

- Niestety, muszę cię rozczarować. Dostałem imiona po swoich dziadkach.

- Ach, tak. To nieco mniej romantyczne, prawda?

- Zapewne „Romeo” o wiele bardziej przypadłoby ci do gustu.

- Nie - odrzekła cicho i spojrzała na niego z najszczerzym wyrazem twarzy, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć w życiu. - Nie chciałam, żeby poczuł się pan zakłopotany z powodu swojego imienia. Tym bardziej że

„Daniel” to wyjątkowo piękne imię.

Czyżby pomyślała, że zraniła jego uczucia? Niezwykłe.

Jakże można się przejmować, czy ktoś przypadkiem nie poczuł się zawstydzony z powodu czegoś tak trywialnego jak imię. Nie wyraził jednak głośno swojego poglądu, co zresz-

202

tą chyba wcale jej nie przeszkadzało. Chwilę później dziewczyna zerknęła pod kołdrę, lekko unosząc jej kraniec.

- Co ja mam na sobie?

- Koszulę.

- Pańską?

- Iak.

- Jedwabną?

- Tak.

Opuściła kołdrę, złożyła na niej dłonie, a potem spojrzała na niego z lekkim uśmiechem.

- Jest bardzo ładna.

- Muszę się skontaktować z twoją rodziną.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Nie ma rzeczy niemożliwych.

- Skontaktowanie się z moją rodziną zakrawałoby na cud.

Skrzyżował ramiona i spojrzał na nią przeciągle.

- Nie dla mnie.

- Och, widzę, że nie zbywa panu na pewności siebie.

- To prawda.

Westchnęła głęboko i wbiła wzrok w złożone na kołdrze dłonie.

- Ja nie wierzę we własne siły.

- Z doświadczenia wiem, że pewność siebie wzrasta wraz z ilością posiadanych pieniędzy.

Dziewczyna zerknęła na niego zaintrygowana.

- Cóż za interesująca teoria. A więc... sądzi pan, że dzięki pieniądзом człowiek nabiera wiary w siebie?

- Zdecydowanie w tym pomagają. Ostatecznie, nie ma rzeczy, których nie można za nie kupić.

- Nie podzielam tej opinii - odparła, potrząsając głową.

- Wymień cokolwiek, czego nie można za nie mieć.

- Drugi człowiek.

D.L. wybuchnął śmiechem w obliczu podobnej naiwności.

203

- Ja codziennie kupuję ludzi.

- Naprawdę? Hm... - W zamyśleniu zmarszczyła czo

ło. - A ja byłam przekonana, że niewolnictwo zniesiono już dawno temu.

Nie miał pojęcia, czy ta riposta była celowa, ale zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, ona już podjęła temat.

- No, dobrze. A co z miłością? Nie można kupić mi

łości.

- Przynajmniej kilkaset kobiet z największą przyjemnością pokochałoby mnie za ułamek mojej fortuny.

W tym momencie z jej oczu zniknął blask, a pojawiło się melancholijne zamyślenie, które sprawiło, że D.L. poczuł się nieswojo.

- Wspomnienia - rzuciła tak cicho, że w pierwszej chwili nie był pewien, czy dobrze ją usłyszał. - Nie można kupić wspomnień. Trzeba na nie zapracować.

- Nic tak jak pieniądze nie pomaga w kreowaniu wydarzeń, które warte są wspominania.

- To nieprawda - oświadczyła stanowczo.
- Niczego na tym świecie nie dostaje się za darmo.
- Z naszej rozmowy wnoszę więc, że pieniądze są dla pana wyjątkowo ważne.
- Kiedyś były. - Wzruszył ramionami. - Teraz to jedynie środek prowadzący do celu.
- Rozumiem. Na co w takim razie przeznaczają pan te wielkie sumy? Na działalność charytatywną? Pomoc ubogim i chorym?
- Nie.
- Czy kiedykolwiek słyszał pan powiedzenie: „Nie zabierzesz tego ze sobą do grobu”?
- Oczywiście.
- Tam, skąd pochodzę, bogactwo nie ma żadnego znaczenia.

204

- W takim razie nigdy nie chciałbym odwiedzić owego miejsca.

Szybko odwróciła wzrok i mruknęła pod nosem:

- To jedno z pewnością panu nie grozi.

Zapadła krępująca cisza. Dziewczyna zaczęła delikatnie skubać kołdrę.

- Powiedz mi, gdzie mogę znaleźć twoją rodzinę -

usłyszała po chwili.

- Nie można znaleźć rodziny, która nie istnieje. Ja po prostu nie mam rodziny.

Nie umiałby wytłumaczyć, czemu nagle poczuł lodowaty chłód. Coś w jej zachowaniu, w tym, jak odwracała wzrok, kazało mu przypuszczać, że kłamie albo jest głęboko zawstydzona. Postanowił więc zmienić taktykę.

- Gdzie w takim razie mieszkasz?

Nadal milczała. Milczała zbyt długo. A więc zamierzała wymyślić jakieś kłamstwo. Ta świadomość zdenerwowała go bardziej, niż kiedykolwiek byłby skłonny przyznać.

Nie chciał, żeby okazała się podobna do innych kobiet, które poznał w życiu. Bardzo pragnął, żeby była inna.

- Nie zamierzasz mi odpowiedzieć?

- Nie wiem.

Oparł się rękami o łóżko i zbliżył twarz do jej twarzy.

Z groźną miną spojrzał jej prosto w oczy.

- Nalegam - rzucił tonem, który onieśmieliłby nawet twardego mężczyznę.

- Nie. Pan mnie nie zrozumiał. - Z jej oczu wyzierała taka niewinność, że niewiele brakowało, a dałby się nabrać. - Właśnie odpowiedziałam na to pytanie. Nie mam pojęcia, gdzie mieszkam.

Wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość.

- Jakże to wygodne w zaistniałych okolicznościach -

rzucił sarkastycznym tonem.

205

Zesztywniała, jakby ją spoliczkował.

- Nie wierzy mi pan?

- Ani trochę.

- Jakże to smutne.

- Nie chcę, żeby ci było smutno. Chcę jedynie usłyszeć prawdę.

- Mnie nie jest smutno. Po prostu mi pana żal.

- Daruj sobie. - Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. - Mogę mieć wszystko, czego zapragnę - oznajmił naciskając klamkę. - A w tej chwili niczego mi nie brakuje.

- Poza większą ilością pieniędzy.

Te słowa go zmroziły. Odwrócił się ku niej z surowym wyrazem twarzy.

- Jutro, Lillian, wyznasz mi prawdę - oświadczył stanowczo.

Zanim zniknął za progiem, rzucił jeszcze przez ramię:

- I wypij wreszcie to cholerne lekarstwo!

Nie tknęła lekarstwa. Wkrótce po jego wyjściu zaczęła schodzić na palcach po pogrążonych w mroku schodach, w jednej ręce trzymając skórzane trzewiki, drugą opierając się o wypolerowaną poręcz. Po wypadku bowiem jeszcze nie całkiem odzyskała równowagę.

Nie była jednak tak bardzo oszołomiona, by choć kilka godzin dłużej pozostać pod tym dachem.

Znalazła się w holu i macając rękami po ścianie, trafi-

ła na drzwi. Oparła się o nie plecami i wciągnęła buty, po czym delikatnie nacisnęła na klamkę. Cichy skrzypią-

cy dźwięk poniósł się złowrogim echem po domu i Lili zastygła w bezruchu, nasłuchując. Nic jednak się nie stało, po chwili więc otworzyła drzwi i wyszła na ze-wnątrz.

Na ulicy panowało lodowate zimno - o wiele bardziej przejmujące niż w środku nawet najbardziej burzowej raj 206

skiej chmury. Lillian zatrzęsła się, gdy przebiegły ją dreszcze i popatrzyła w ciemność nocy. Ostatecznie z determinacją owinęła się szczelniej żakietem, zaczerpnęła głęboko powietrza, a potem chwilę się przyglądała, jak para zamienia się w mroźny obłok.

W końcu zamknęła oczy, zmówiła krótką modlitwę i zbiegła ze schodów. W czasie krótszym niż łąza spływa po policzku zniknęła w mrokach ulic Nowego Jorku.



# 3

Zniknęła?! Co, do diabła, chcesz przez to powiedzieć?!

D.L. poderwał się na równe nogi, rzucił serwetę na stół

i wbił rozwścieczone spojrzenie w lokaja.

Gage stał w progu dwuskrzydłych drzwi, prowadzących do pokoju śniadaniowego, i ścisnął w dłoni białą, jedwabną koszulę - tę samą, w której spała Lili.

- Po prostu wyszła, proszę pana.

- A niech to wszyscy diabli!

Powinien był osobiście włożyć jej to lekarstwo do gardła, pomyślał, po czym spojrzał ze złością na koszulę. Albo ukryć gdzieś jej ubranie.

- Dowiedz się, czy ktoś słyszał lub widział, jak wychodziła. A potem przeszukajcie cały okoliczny kwartał. I daj mi znać, gdy tylko zdobędziesz jakiekolwiek informacje.

Lokaj bez słowa ruszył do wyjścia.

- Gage.

Służący natychmiast odwrócił się w jego stronę.

- Tak, proszę pana?

- Ja się tym zajmę. - Skinieniem głowy wskazał koszułę. Gage zerknął na gładki jedwab zdumionym wzrokiem, po czym natychmiast oddał ją swemu pracodawcy i zniknął.

Tymczasem prawnik finansisty, Karl Williams, zdjął

okulary, przetarł chusteczką i, włożywszy je z powrotem 208

na nos, wbił uważny wzrok w swojego klienta i przyjaciela zarazem.

D.L. nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. W milczeniu wpatrywał się w białą koszulę. Wciąż wydzielala subtelny, cytrusowy aromat.

- Musisz ją odnaleźć, D.L.

Daniel rzucił koszulę na pobliskie krzesło, podszedł do wysokiego okna i wcisnął ręce głęboko do kieszeni spodni. Przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w opadające na ulicę delikatne płatki śniegu.

- Wiem - powiedział w końcu.

- A więc pojąłeś wreszcie, że potrzebna ci ugoda? To doskonale.

D.L. odwrócił się gwałtownie.

- Ugoda? Jaka ugoda?

- Musisz nakłonić tę dziewczynę do podpisania oświadczenia. - Karl przerzucał papiery rozłożone na stole. - Musi gdzieś tutaj leżeć... Miałem zamiar przedstawić Ci ten dokument, gdy już omówimy kwestie dotyczące kontraktów. A, oto i jest. - Machnął triumfalnie jakimś kawałkiem papieru. - Ta ugoda zwalnia cię z wszelkiej odpowiedzialności za wczorajszy wypadek.

- Ależ ja ponoszę za niego odpowiedzialność.

- Na Boga, człowieku, nigdy nie wypowiadaj podobnych słów w obecności swojego adwokata. Grubo mi płacisz, za moje starania, żebyś nigdy za nic nie ponosił żadnej odpowiedzialności - przede wszystkim finansowej.

D.L. odwrócił się od okna.

- Dziwne - mruknął pod nosem. - Nie wyglądała na taką, która zamierza uciec.

- Co takiego?

Potrząsnął głową.

- Nieważne. Nieistotna uwaga.

Za oknem sypał śnieg, opadając na przechodniów śpieszących w różne strony błotnistym chodnikiem.

209

Przed oczami Daniela mignęła twarz kobiety o jasnej cerze i jeszcze jaśniejszych włosach. Delikatnej, przypominającej anioła dziewczyny płaczącej, bo straciła wszystko, co dla niej ważne w życiu. Dziewczyny kulącej się gdzieś w jakimś zaułku, drżącej z zimna, pokrytej wilgotnymi płatkami śniegu.

Kobiety, która nie ma nikogo bliskiego. Gdy to sobie uświadomił, odezwała się w nim zapomniana cząstka duszy, która przypomniwała mu, jak straszne jest uczucie całkowitej samotności.

Niespodziewanie poczuł wielkie zmęczenie. Tej nocy nie spał ani przez chwilę. Kiedy tylko zamykał powieki, natychmiast stawała mu przed oczami twarz młodej kobiety spoglądającej na niego pełnym rozczarowania wzrokiem - wzrokiem pozbawionym wszelkiego blasku.

- D.L., czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię?

- Owszem. Powiedziałeś, że muszę ją znaleźć.

- Właśnie. I skłonić do podpisania ugody. A potem niech idzie, gdzie chce. Najważniejsze, żeby za kilka miesięcy nikt nie mógł wystąpić przeciwko tobie o odszkodowanie. Potrzebny nam jej podpis, żebyś miał raz na zawsze święty spokój z tą sprawą.

- Doskonale - odparł Daniel szorstko.

- Radzę ci, żebyś zapłacił tyle, ile zażąda. Wygląda na dziecko zagubione we mgle, na pewno więc nie będzie cię to zbyt wiele kosztować.

D.L. energicznym krokiem podszedł do stołu.

- Skończmy wreszcie z tymi papierami - zarządził.

Opadł na krzesło, ale jedynie półuchem śledził warunki kontraktu. Nie mógł się bowiem wyzwolić od niemiłego uczucia, że ta jasnowłosa kobieta będzie kosztować go więcej, niż Karl czy też on sam mógłby sobie wyobrazić.

Lilii większość dnia przesiedziała na ławce w parku.

Z powodu ostatnich przeżyć jakoś wypadło jej z głowy, że 210

zbliża się Boże Narodzenie. Gdy tylko jednak wzeszło słońce, Nowy Jork obudził się do życia i przypomniawszy

światu, że nadszedł świąteczny czas.

Na ulicach było pełno powozów ozdobionych świerkowymi gałązkami, a wystawy sklepów, okna rezydencji i biur korporacji pyszniły się girlandami z cedru i wawrzynu, opasanymi wielkimi kokardami w kolorze soczystej czerwieni.

Lilii na jakiś czas ukryła się w domu towarowym, gdzie było ciepło, a za kołnierz nie wciskały się płatki śniegu.

Kiedy tylko znalazła się w sklepowym wnętrzu, natychmiast udzielił się jej świąteczny nastrój - wystarczyło, że popatrzyła na morze uśmiechniętych twarzy i posłuchała sypiących się zewsząd życzeń wesołych świąt i wszelkiego szczęścia.

Z przyjemnością oglądała magiczne latarnie, wymyślne lalki i świeżo wprowadzone na rynek elektryczne kolejki dla chłopców, które ze świstem i terkotem okrężały choinki ustawione w ogromnym sklepie. Wszędzie wokół

pilnowała radosna atmosfera.

Gdy śnieg niemal przestał padać, Lillian, z uśmiechem na twarzy, wróciła do parku. Drzewa i krzewy okryte puchem wygadały jak oprószone cukrem pudrem. Zamarznięte sadzawki przypominały

migotliwe zwierciadła, a fontanny - wyciągniętych na baczność śnieżnych wojowników.

Powietrze wypełniał radosny śmiech oraz dźwięk dzwonków u sanek, które śmigały przez całe popołudnie po parku, potrącając tabliczki z napisami NIE DEPTAĆ

TRAWNIKÓW „Ilekoć zabrzmi głos dzwonka, jakiś anioł

otrzymuje skrzydła", przypomniała sobie Lili.

Wybuchła śmiechem, przyglądając się bitwom na śnieżki i uśmiechała nostalgicznie na widok dzieci z łyż-

wami w ręku, które biegły nad zamarznięty staw, wykrzykując, że kto będzie ostatni, ten jest „zgniłkiem”.

211

Wieczorem ostatnia opuściła park. Wtedy sama poczu-

ła się już jak „zgniłek”.

Była teraz wędrowcem blakającym się bez celu po obcej ziemi. W ciągu dnia znajdowała pociechę w radości i śmiechu innych istot i to pozwoliło jej przetrwać długie godziny, ale teraz, gdy słońce zniknęło za horyzontem, nie miała pojęcia, co ze sobą począć.

Powietrze pełne było lodowatej wilgoci, przeszywającej ją aż do kości. Lili zapięła ciaśniej żakiet i skuliła się, by odegnać chłód. Nie mogła uwierzyć, że pomimo tak wielu warstw ubrania wciąż trzęsie się z zimna. Próbowa-

ła zaczerpnąć więcej powietrza, ale mocno zasznurowany gorset praktycznie jej to uniemożliwiał. Z pewnością na wet czyścicowa pokuta nie była bardziej dokuczliwa od stroju śmiertelniczki.

Lillian zatrzymała się na moment i rozejrzała wokół

Na skraju chodników leżały pryzmy śniegu, a ciągnące się przy krawężnikach rynsztoki skuwała warstwa lodu. W pobliżu stał elegancki powóz, a ulicą toczył się z gło-

śnym turkotem wóz dostawczy. Na rogu kilkuletni chłopiec wciskał w ręce przechodniom najświeższą gazetę. Każdy wyglądał tak, jakby się dokądś spieszył - chciał ją najszybciej znaleźć się w przytulnym zaciszu, zanim jeszcze na dobre zapadnie noc.

Lili w tym momencie uświadomiła sobie, że nie ma dokąd pójść, i poczuła się strasznie samotna i zagubiona. Instynktownie podniosła oczy ku niebu, ku sferom, które jeszcze tak niedawno były jej domem.

Zobaczyła tylko wysokie budynki - niektóre z nich wznosiły się aż siedem pięter w górę i niemal całkiem zasłaniały gwiazdy połyskujące blado na nocnym firmamencie. Jakże chciała zobaczyć te

wszystkie gwiazdy w całej krasie, wyciągnąć dłoń i dotknąć ich w nadziei, że wskażą jej drogę powrotną do raju.

Niestety, były tak wysoko.

212

Opuściła głowę, a wtedy ponownie zobaczyła pod nogami śnieg. Zaczęła płakać i nie przestawała, póki całkiem nie zbrakło jej łez. W końcu jednak otarła policzki i oczy.

Wyprostowała ramiona, uniosła dzielnie głowę i skierowała się ku nieznannej części miasta, gdzie w bocznych zaułkach, przy niewielkich ogniskach, zbierali się imigranci i bezdomni - tacy jak ona.

Zastanawiała się, jak wielu z nich jest jej pokrewnymi duszami - upadłymi aniołami, wygnańcami z raju.

Zziębnięta, zmęczona i głodna oparła się w końcu o ścianę ceglanego domu. I wtedy dobiegł ją zapach kiełbasek. Natychmiast poczuła burczenie w brzuchu i ślina nabiegła jej do ust. Dostrzegła kilka rodzin stłoczonych pod dużą markizą przy bocznych drzwiach budynku, wychodzących na niewielką uliczkę.

Dzieci, owinięte w cienkie kocyki i ręcznie dziergane chusty, patrzyły na Lili blady, wystraszone oczami.

Jakieś niemowlę zaniosło się głośnym płaczem. Sądząc po Szczególnym brzmieniu - płakało z głodu.

Nad jednym z rachitycznych ognisk pochylała się kobieta, gotując jakąś strawę. Niespodziewanie odwróciła się za siebie i spojrzała prosto w oczy Lillian, a wówczas nawiązała się między nimi jakaś niewytłumaczalna, kobieca nić porozumienia - irracjonalna, duchowa.

Kobieta napełniła blaszane naczynie jakimś płynem i wyciągnęła w stronę Lillian.

Lilii poczuła napływające do oczu łzy i pokręciła głową.

- Proszę nakarmić dzieci - powiedziała stanowczo.

Imigrantka zmarszczyła brwi, po czym z determinacją i dumą, niezwykłą w jej sytuacji, podeszła do Lillian i wcisnęła jej blaszankę w dłoń.

- *Fröhliche Weihnachten*. Wesołych świąt.

Lili z trudnością powstrzymała się od płaczu. Zmusiła się do bladego uśmiechu i wykrztusiła cicho: „Dziękuję”.

213

Tymczasem kobieta pospieszyła z powrotem do dzieci i swojej stawy.

Lillian skuliła się w kącie, gdzie opadał zimny lepki śnieg, osiadający na jej ubraniu, i zaczęła popijać niemiecką, kwaskową polewkę - tak ciepłą i pachnącą domem, jakby spłynęła ze stołu samego Boga.

Po jedzeniu zmówiła krótką, dziękczynną modlitwę, po czym przyglądała się zamieci śnieżnej, zagubiona, zmarznięta, zmęczona, powoli tracąc ducha.

I wówczas je usłyszała. Dzwony. Kościelne dzwony swoim biciem przypominające archanielskie chóry równie czyste w tonie i donośne - przemawiały do jej serca.

Kiedy dotarła do drzwi kościoła, nie zobaczyła żywej duszy. Powoli weszła po schodach, niemal przekonana, że nie dostanie się do środka - że drzwi tego świętego przy-bytku będą dla niej tak samo zamknięte jak bramy raj.

Jednak otworzyła je bez trudu i weszła do dużego ko-

ścioła kuszącego swoim ciepłem, spokojem i pozłocistym blaskiem świateł. Usiadła w środku drugiego rzędu ławek, w pobliżu ołtarza.

Zamknęła oczy, by odnaleźć choćby cząstkę świata, który utraciła. Tutaj, w domu Bożym, czuła więź łączącą ją z rajem.

Chwilę później poczuła, że jej powieki stają się ciężkie jak z ołowiu. Rozsupłała węzeł swojego kapelusza-budki, położyła go obok siebie, pozwalając, by włosy spłynęły jej luźno na plecy. I wówczas wyczerpanie oraz głód wreszcie wzięły górę.

Lilii wyciągnęła się wygodnie i zapadła w sen.

- Psst!

Było jej ciepło, ale nadal czuła się zmęczona - tak niewyobrażalnie zmęczona.

-Psst!

214

Pomyślała, że to zapewne jakaś utrapiona mucha, więc wciąż na wpół uspiona próbowała się od niej opędzić.

- Lilii! Oprzytomniej!

- Florie... - wymamrotała, po czym szczerzej owinęła się żakietem.

- Lilii! Zbudź się natychmiast!

Lillian otworzyła oczy. Teraz, już rozbudzona na dobre, wyprostowała się w ławce i odgarnęła włosy z twarzy.

- Florie? To naprawdę ty? - Wyciągnęła ramiona, by uściskać przyjaciółkę, ale jej ręce chwyciły jedynie powietrze. Zamrugnęła kilkakrotnie, po czym z rezygnacją opadła na ławkę. - Zapomniałam, że teraz jestem zwykłą śmiertelniczką i że nie mogę cię dotknąć.

W oczach Florie mignął smutek i żal.

- Nie mogę cię przytulić.

- Wiem.

- Florie... - Lillian wbiła wzrok w swoje dłonie. - Jestem taka przerażona.

- Cii. Czy nie rozumiesz, co się dzieje? Przychodzę do ciebie we śnie. Pamiętasz? Anioł nawiedzający śmiertelnika podczas snu? Lekcja numer sto trzy?

- Jasne, że pamiętam. Chociaż mnie samej nawet to nigdy się nie udało.

- Uspokój się i patrz.

Florie zaczerpnęła powietrza, po czym zatrzepotała skrzydłami i uniosła się nad głową Lili.

- Właśnie tak... Uwaga! Przynoszę ci radosne wieści!

Lillian Wybuchnęła śmiechem.

Florie przestała machać skrzydłami i usiadła na oparciu pierwszego rzędu ławek. Zwinęła skrzydła i uśmiechnęła się do Lili, machając niefrasobliwie nogami.

- Przerekładowana sztuczka, co?

- Tęsknię za tobą.

- Mnie też cię brakuje. - Florie usadowiła się wy-215

godniej; po czym rzuciła jej promienny uśmiech. - Tak czy owak, przynoszę ci dobre wieści. A przynajmniej tak mi się wydaje - dodała.

- Jakie wieści?

- Święty Piotr dał się ułagodzić.

- A więc mogę powrócić?

- Hm... Nie tak od razu. Powiedział natomiast, że jeśli zdołasz dokonać cudu - tylko jednego - tutaj, na ziemi, przyjmie cię z powrotem do raju.

- Ależ ja nigdy nie zdołałam dokonać żadnego cudu -

nawet gdy byłam w niebie. Jakże więc miałyby mi się to udać tutaj, na ziemi?

- Lili, uważam, że w twoim wypadku miejsce nie ma żadnego znaczenia.

- Pewnie masz rację. A więc teraz jedynie muszę wymyślić jakiś cud.

- Prawdę mówiąc, to nie będzie konieczne.

- Naprawdę?

- Owszem. Święty Piotr już postanowił, co masz zrobić.

Kolejna szansa! A więc jednak dostała jeszcze jedną szansę! Lili nerwowo zacisnęła dłonie na oparciu ławki i pochyliła się w stronę przyjaciółki.

- Zrobię wszystko, Florie. Absolutnie wszystko, jeśli tylko dzięki temu będę mogła powrócić.

- To świetnie.

- A więc powiedz mi natychmiast, jaki to miałby być cud?

- Musisz udzielić komuś lekcji. Nauczyć śmiertelnika, jak się dzielić z bliźnimi z potrzeby serca.

Lili zadumała się przez chwilę, po czym przypomnia

ła sobie emigrantkę z Niemiec, która chętnie podzieliła się z nią swoją zupą. Zapewne w tak wielkim mieście jak Nowy Jork było mnóstwo podobnych ludzi. Spojrzała więc na przyjaciółkę z pogodnym uśmiechem.

216

- Z tym na pewno sobie poradzę.

Florie jednak zachowywała nietypową dla siebie powściągliwość

- Odnoszę wrażenie, że to jakaś bardziej skomplikowana sprawa, niż mi się wydaje na pierwszy rzut oka -

powiedziała w końcu Lillian.

- To prawda.

Lili spojrzała pytająco na przyjaciółkę. Florie miała zdecydowanie nietęgą minę.

- Zdaje się, że mi się to nie spodoba?

Florie potwierdziła skinieniem głowy.



- Dlaczego? Gdzie się kryje haczyk?

- Święty Piotr osobiście wybrał tego śmiertelnika.

- Z twojego tonu wnoszę, że łatwiej przysłoby mi nawrócić szatana, niż nauczyć czegoś wybranego człowieka.

- Jestem przekonana, Lili, że ci się uda.

- O kogo więc chodzi?

Florie wbiła wzrok w stopy.

- O pewnego finansistę: D.L. Stewarta.

Lillian mimowolnie otworzyła usta.

- Tego nadętego Stewarta, który sądzi, że za swoje pieniądze może kupić cały świat?

Przyjaciółka jedynie skinęła głową.

Lili jęknęła i wbiła wzrok w główny ołtarz.

- Miałaś rację - powiedziała po chwili. - Święty Piotr wymyślił dla mnie najgorszą możliwą pokutę.

- Ten pan Stewart z pewnością nie jest aż tak zły.

Lili jedynie prychnęła w odpowiedzi.

- Słuchaj, przede wszystkim pamiętaj, co możesz zyskać - perswadowała jej Florie. - To twoja jedyna szansa.

Nie zapominaj, że wstawiałam się za tobą ze wszystkich sił. Błagałam i podawałam wszelkie możliwe argumenty.

Dlatego proszę, Lili, przynajmniej się postaraj.

Lillian spojrzała w górę, ku niebu, po czym odetchnęła głośno i dumnie zadarła podbródek.

217

- Spróbuję. Choć to wyjątkowo trudne zadanie. Oczywiście, żartowałam, gdy mówiłam, że łatwiej byłoby nawrócić szatana, ale, Florie... - Lillian westchnęła ciężko -

.. w gruncie rzeczy tego właśnie wymaga ode mnie święty Piotr.

Potrzebował aż półtora dnia, żeby ją odnaleźć.

Siedział w powozie stojącym przy krawężniku, gdy ujrzał Lili wychodzącą z kościoła. Patrząc na nią, odniósł

wrażenie, że ciężar spoczywający na jej barkach zwiększył się dziesięciokrotnie. Schodziła po schodach przygarbiona, trzymając w dłoni kapelusz i wlokąc go za sobą, jakby o nim zupełnie zapominała. Na jej twarzy rysował

się wyraz kompletnego zagubienia - przypominała w tym momencie bezbronne pisklę, które właśnie wypadło z gniazda.

Chwilę później i ona go dostrzegła, a wówczas jej twarz powlokła się bladością.

D.L., nie zważając na to, ruszył ku niej po kościelnych schodach.

Widząc go, Lili wcisnęła kapelusz na głowę, po czym zabrała się do wiązania wstążek pod brodą - patrząc przy tym wszędzie wokół, byle nie widzieć zbliżającego się mężczyzny.

- Lillian - rzucił w końcu Daniel, grzecznie unosząc cylinder.

- Panie Stewart.

Wojowniczo zadarła podbródek i zrobiła krok w dół.

Tymczasem niespodziewanie rozległ się trzask, słyszalny co najmniej w obrębie kilku najbliższych przecznic.

Lili zdrętwiała i obejrzała się przez ramię.

Jej spódnica została przytrzaśnięta przez kościelne wrota.

- Pozwól, proszę - odezwał się w końcu Daniel, po czym otworzył drzwi i uwolnił Lillian.

218

- Bardzo dziękuję - odrzekła.

Zabawnie uniosła podbródek i zaczęła schodzić po stopniach, nie zwracając uwagi na oberwany wrąbek, ciągnący się za nią żałośnie.

D.L. uważnie obserwował całą scenę, z trudnością powstrzymując się od czegoś tak mu obcego jak śmiech.

Szybko podszedł do Lili i zrównał z nią krok.

Dziewczyna milczała.

- Ładna pogoda - rzucił po chwili.

- O ile ktoś lubi śnieg.

- Ja lubię.

- Ja również.

- A więc jesteśmy do siebie podobni - odparł, a potem zatrzymał powóz i otworzył szeroko drzwi.

Lillian posłała mu zdumione spojrzenie.

- Wsiadaj - zakomenderował.

- Nie. Dziękuję.

- To nie była prośba.

- Zauważyłam.

Zaczerpnął powietrza, po czym rzucił przez zaciśnięte zęby:

- Czy zechciałabyś skorzystać z mojego powozu?

- Nie. W żadnym razie nie odważyłabym się cię zatrzymywać. Ostatecznie czas to pieniądz.

Nie skomentował jej uwagi, bo nagle poczuł się całkiem rozbrojony. Usiadł więc jedynie w powozie, próbując onieśmielić Lillian wzrokiem, by przynajmniej poczuła się równie nieswojo, jak on w owej chwili. Tymczasem ku jego zdumieniu rzuciła mu spojrzenie, które mogło oznaczać tylko jedno - wyzwanie.

A potem niespodziewanie odwróciła się na pięcie i energicznym krokiem zaczęła się od niego oddalać.

Daniel natychmiast zastukał laską w ściankę dzielącą go od woźnicy.

- Jedź tuż obok niej, Benny.

219

Powóz ruszył w tempie współgrającym z krokiem dziewczyny, która nie zwracała najmniejszej uwagi na pojazd.

Po chwili więc Daniel otworzył okno i, opierając się niedbale o poduszki, rzucił:

- Szukałem cię.

- Doprawdy? Czyżby nikogo nie udało ci się dzisiaj kupić?

- Dzień jeszcze się nie skończył.

- Bez wątpienia poszukiwania mojej osoby nie dadzą ci żadnych materialnych korzyści.

- Mam niekiedy trochę wolnego czasu. - D.L. zerknął

na złoty zegarek. - Jest dziesiąta. Banki zostały otwarte godzinę temu. Co oznacza, że do tej pory zarobiłem prawie dwa tysiące dolarów na samych odsetkach.

Lilli maszerowała równym krokiem.

- Gratuluję - odparła.

- Nie chciałyś się dowiedzieć, czemu cię szukałem?

-Nie.

Przyglądał się jej w milczeniu, uderzając palcem po zaciśniętych wargach.

Po kilku kolejnych krokach Lillian stanęła w miejscu i podparła się rękami pod boki.

- Zupełnie cię nie rozumiem - oświadczyła.

- I nawet nie próbuj.

Przeniosła wzrok z jego twarzy na swoje dłonie.

- Może będę musiała.

Tymczasem Daniel oparł się ramieniem o uchylone okno.

- Mam dla ciebie pewną propozycję - oznajmił, po czym zwrócił się jeszcze bardziej w jej stronę. - Wsiadaj, to porozmawiamy.

Lilii wzniosła oczy ku niebu, po czym głęboko westchnęła.

- Chyba jednak nie zdołam temu sprostać.

- Skąd wiesz? Przecież jeszcze nie przedstawiłem ci swojej oferty.

220

Pokręciła zdecydowanie głową.

- Tego nie da się wyjaśnić.

Daniel przyjął ową uwagę z kamienną miną, po czym pograżył się w milczeniu, czekając, aż wzrośnie napięcie.

To była taktyka, do której często się odwoływał w swoich negocjacjach biznesowych.

Czas mijał. Lillian tymczasem stała niewzruszona na chodniku.

- Dam ci sto dolarów, jeśli wsiądziesz do powozu - powiedział w końcu.

Zmrużyła oczy, wyprostowała dumnie ramiona i ruszyła przed siebie.

- Co ty na to? - wykrzyknął.

- Nic z tego.

Weszła w zaułek pełen imigrantów. Powiedziała coś do kobiety trzymającej na ręku dziecko, po czym wyjęła z kieszeni poobijaną blaszankę. Obie kobiety zamieniły jeszcze kilka słów, a potem Lillii odwróciła się na pięcie i raźno ruszyła przed siebie.

D.L. ponownie zastukał w dach powozu.

- Jedź przy niej, Benny - polecił.

Kiedy pojazd zrównał się z Lillian, Daniel wychylił się przez okno, policzył do pięciu, po czym rzucił:

- Dwieście.

- Nie, dziękuję.

- Pięćset.

Jedynie pokręciła głową.

- Tysiąc.

W tym momencie Lillii wpadła na słup ulicznej latarni, szybko jednak odskoczyła i powędrowała dalej - jakby nigdy nic się nie stało.

- Dwa... tysiące.

Gwałtownie odwróciła się w jego stronę.

Nie umiałby powiedzieć, czy była zdumiona czy przerażona.

221

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej.

- Dwa tysiące dolarów?

- Owszem.

- Gotówką? - spytała, patrząc mu prosto w oczy.

-Tak.

- Od ręki?

-Tak.

Podeszła do powozu i wyciągnęła w jego kierunku obie dłonie.

Daniel wysiadł, wyjął zwitek banknotów i podał jej kilka.

- Przelicz, proszę.

- Słucham?

- Powinieneś dokładnie je przeliczyć. Żebyśmy oboje mieli pewność, czy suma się zgadza. Chyba nie chciałbyś ponieść strat.

Zirytowany, wziął od niej pieniądze, po czym starannie przeliczył, kładąc każdy banknot na dłoni dziewczyny.

- Dziękuję.

- A teraz wsiadaj - zarządził, otwierając przed nią drzwi.

- Za chwilę.

Puściła się biegiem przed siebie.

- Natychmiast! - zawołał.

Lilii machnęła ręką w jego stronę, wpadła w wąską uliczkę i zatrzymała się przed dzieckiem, które spojrzało na nią wielkimi oczami wyzierającymi z chudej, bladej twarzyczki. Dziewczyna położyła studolarowy banknot na dłoni dziecka i zacisnęła na pieniądzach małe palce. Potem, w ten sam sposób, obdarowała wszystkich innych biedaków tłoczących się w zaułku. W końcu stanęła przed kobietą z niemowlęciem na ręku i wręczyła jej resztę pieniędzy.

- Wesołych świąt! *Frohliche Weihnachten.*

Imigranci z niedowierzaniem wbijali wzrok w banknoty, które Lilii wciskała im do rąk, a potem popatrzyli na 222

nią, jakby była aniołem zesłanym przez samego Boga. Kiedy wracała do powozu, na jej ustach błąkał się lekki uśmiech.

Zatrzymała się przed Danielem i dumnie uniosła głowę.

- No dobrze, panie Stewart. Teraz jestem gotowa.

Nie wiedział, czy miał większą ochotę ją udusić, czy jej pogratulować. W każdym razie udało jej się wzbudzić w nim zdumienie. Już po raz kolejny. Niespodziewanie ogarnęło go poczucie zadowolenia. Bez słowa pomógł

Lilii wsiąść do powozu, po czym z trzaskiem zamknął drzwiczki.

Siedzieli naprzeciwko w milczeniu, mierząc się nawzajem wzrokiem. Kolejne wyzwanie. Lillian wydawała się bardzo z siebie dumna. Wyraźnie widział to w jej twarzy.

Jeszcze przez chwilę pozwolił jej popławić się w samozadowoleniu. Potem od niechcienia spojrzął w okno i powiedział:

- Zapłaciłbym więcej.

- Naprawdę? - spytała cicho.

- Tak.

- To interesujące. - Przekrzywiła głowę i zaczęła skubać rękawiczkę. - Pomyślałam, że powinieneś zobaczyć, jak należy traktować ludzi. - Pochyliła się ku niemu, podparła podbródek dłonią i spojrzała Danielowi prosto w oczy.

- Wyznam ci pewną tajemnicę.

- Co takiego?

- Wsiadłabym za darmo.

*Gościnnosci nie zapominajcie;*

*przez nią bowiem niektórzy, nie wiedząc o tym, aniołów gościli.*

List św. Pawła do Hebrajczyków 13: 2

Lilli siedziała w bibliotece Daniela, w wielkim skórzanym fotelu z wysokim oparciem i wodziła wzrokiem po obrazach, eleganckich mahoniowych meblach z okuciami z brązu i wysokich oknach, za którymi znowu padał

śnieg. Spoglądała wszędzie. Tylko nie na niego.

- Lillian.

Odwróciła się posłusznie.

Daniel nie patrzył na nią. Siedział przy biurku, zwrócony do niej profilem i wbijał wzrok w przestrzeń z miną człowieka, który rzeczywiście ma cały świat u swych stóp.

Bez wątpienia był potężny i wpływowy. Zdradzał to jego sposób bycia, wygląd, a nawet tembr głosu.

Uniósł kosztowne pióro i zaczął uderzać skuwką w le

żącą na biurku podkładkę, po czym w zamyśleniu przerzucił pióro między palcami, by znów nim postukać - tyle że teraz drugim końcem.

- Kiedy byłaś tu poprzednio, powiedziałaś coś, co mnie zaintrygowało.

Nie zareagowała, choć była bardzo ciekawa, co w jej słowach mogło zaintrygować tak wszechmocnego człowieka.

224

- Oświadczyłaś, że istnieją rzeczy, których nie można kupić za pieniądze.

-Bo istnieją.

- Ja się z tym nie zgadzam.

Chciała się odezwać, Daniel powstrzymał ją jednak ruchem dłoni.

- Pozwól, że skończę. Nie wierzę w to, ale pasjonują mnie nowe wyzwania.

- To widać - szepnęła.



Spojrzał na nią surowo, nakazując milczenie. Postanowiła mu się nie sprzeciwiać.

- To mnie bardzo zafrapowało.

- Doprawdy? I co z tego wynika?

- Postanowiłem dać ci możliwość udowodnienia swojej tezy.

- Nie bardzo rozumiem.

- Utrzymujesz, że nie masz dokąd iść.

- Bo to prawda.

- Jeżeli tak jest w istocie, sprawa przedstawia się bardzo prosto. Proponuję, żebyś zatrzymała się w moim domu.

W zamian spróbujesz mi udowodnić słuszność głoszonej przez siebie teorii. - Oparł dłonie o biurko i przyspilił ją spojrzeniem swoich ciemnych oczu, tak surowym, że zapewne onieśmieliłby samego świętego Piotra. - Udowodnij mi, że istnieją na tym świecie rzeczy, których nie można kupić.

- Po co? I dlaczego akurat ja?

Opadł na oparcie fotela ze znudzoną miną, którą Lili uznawała za sztuczną i wystudiowaną.

- Potrzebuję rozrywki.

- Nazwałeś to jednak wyzwaniem.

- Bo to jest wyzwanie. - Podniósł pióro i zamachał nim przed nosem Lillian. - Widzisz, podczas gdy ty będziesz usiłowała pokazać mi, czego nie można kupić, ja będę ci pokazywał, co można dostać za pieniądze. Każde z nas będzie próbowało udowodnić drugiemu swoją tezę.

225

- W zamian za co?

W pierwszej chwili spojrzał na nią zdumiony, zaraz jednak wybuchnął głośnym, szczerym śmiechem. Tym razem nie było w tym śmiechu wcześniejszej sardonicznej nuty, za to pojawiła się pewna chropowatość zdradzająca, że Daniel nieczęsto śmiał się od serca.

- Wymień swoją cenę.

Pokręciła smutno głową.

- Cały czas rozumiesz jedynie w kategoriach pieniądza.

- W takim razie powiedz, jaką chciałabyś dostać nagrodę.

Pomyślała o swojej sytuacji i wyznaczonym zadaniu.

Wszystko wydawało się zbyt proste, okazja sama pchała się do rąk.

Może po prostu te lata spędzone w raju zapewniły jej odrobinę Boskiej przychylności.

A może jedynie wypadek sprzed dwóch dni pozbawił

ją resztek zdrowego rozsądku.

- Mogę poprosić, o co tylko zechcę?

W jego oczach ukazał się przebiegły błysk.

- Absolutnie o wszystko.

- Jeżeli udowodnię, że nie miałeś racji, to raz w tygodniu - osobiście - odszukasz człowieka, który znalazł się, w beznadziejnej sytuacji, i mu pomożesz. Kogoś takiego jak ludzie, którym dziś rozdałam twoje pieniądze.

- Doskonale.

Lillian zamarła. Podejrzanie łatwo przystał na jej warunki.

- A co ty z tego będziesz miał?

W milczeniu wpatrywał się w jakiś dokument, który trzymał w dłoni. Sprawiał wrażenie głęboko pogrążonego w myślach.

- Panie Stewart? - odezwała się po dłuższej chwili.

Daniel podniósł na nią wzrok.

226

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Raz jeszcze zerknął na dokument, a potem, jakby nagle powziął ważne postanowienie, stanowczym ruchem odłożył papier na bok.

- Będę miał towarzystwo - odparł szorstko, po czym podniósł się zza biurka i przełożył na nim kilka papierów.

- Jutro wieczorem muszę się udać na pewne spotkanie, a kilka dni później na kolejne. Będziesz mi towarzyszyła.

Zwrócił się w stronę okna i zaczął wyglądać na ulicę.

- Tylko tyle? Mam z tobą chodzić na spotkania?

- Wszędzie, gdzie poproszę.

Wstała szybko z fotela.

- W porządku. A więc umowa stoi.

Pociągnął za sznur dzwonka i w bibliotece pojawił się lokaj. Daniel zwrócił się ku niemu, nie spuszczać przy tym wzroku z Lili.

- Gage, zaprowadź pannę Lillian do złotego apartamentu.

Ją tymczasem ogarnęło nieміłe uczucie, że oto właśnie rzuciła się na głęboką wodę ze skrepowanymi rękami i no-

ami.

- Przypilnuj, żeby miała wszystko, czego zapragnie.

Zawiesił głos dla większego efektu, po czym dorzucił: -

Wszystko, co tylko można kupić.

Złoty apartament był właśnie taki, jak wskazywała je-go nazwa - złoty. Łoże pomalowano złotą farbą. Na ścianach widniały tapety obsypane złotym pyłem, a wysokie listwy nad podłogą zostały pozłoczone. Kasetonowy sufit pokrywało malowidło przedstawiające złocisty wschód słońca, a na dębowej podłodze leżał kosztowny, jedwabny kobierzec w odcieniach ciemnego i jasnego złota, wykoń-

czony złotym, jedwabnym pasamonem.

Lilii schyliła się, by uważniej obejrzeć wzory na dywanie, na wpół podejrzewając, że ujrzy kunsztownie splecio-227

ne symbole dolara. Z wielką ulgą przekonała się jednak, że to jedynie skomplikowany wzór kwiatowy.

Przeszła przez pokój i otworzyła drzwi do garderoby, której trzy ściany zajmowały kryształowe lustra w złoconych ramach. Za kolejnymi drzwiami, o złotych klamkach w kształcie delfinów, kryła się łazienka z bladożółtego marmuru, ze złotymi kurkami - również w kształcie delfinów, a także...

- Wielkie nieba - wymamrotała Lilii pod nosem. - Złota umywalka!

Wpatrywała się w nią z wyrazem niedowierzania na twarzy.

A potem zerknęła w umieszczoną nad umywalką lustro i gdy zobaczyła, co się w nim odbija,

zamrugła z wrażenia, po czym szybko odwróciła się tyłem do tego widoku.

Muszla klozetowa wyglądała jak okazały tron ze złota.

W pierwszej chwili Lillian zaniemówiła, ale po chwili roześmiała się na całe gardło, a im dłużej rozglądała się po łazience, tym głośniejsze i bardziej niepoohamowanie zanosila się śmiechem, aż w końcu musiała się oprzeć o złotą umywalkę.

To zapewne był jakiś żart. W żaden inny sposób nie można wytłumaczyć czegoś tak ekscentrycznego.

Kiedy jednak w końcu się uspokoiła, dotarło do niej, jak kolosalne pieniądze pochłonęło urządzenie tego apartamentu. Wszystko tu było najwyższej jakości. I to, co jeszcze przed chwilą tak bardzo ją śmieszyło, nagle prze stało być zabawne. Cóż za smutny przykład bezsensownego marnotrawstwa i przepychu. A co gorsza - zaburzonego systemu wartości.

Szybko wyszła z łazienki, przytłoczona i przygnębiona, wątpiąc w powodzenie swojej misji. To niemożliwe, by zdołała nauczyć czegokolwiek takiego człowieka jak D.L.

Stewart.

228

Znowu stanęła w sypialni i w milczeniu zaczęła się rozglądać po pomieszczeniu. Każdy mebel, każdy obraz, każdy inny przedmiot odznaczał się zimną perfekcją. Był

kosztowny. Często bezcenny.

Nagle Lili zaczęła pojmować coś, co nie docierało do niej wcześniej. Właściciel tego domu, tego apartamentu, musiał nauczyć się znacznie więcej niż jedynie dawać z potrzeby serca. Był tak zagubiony, a system jego warto

ści tak skrzywiony, że ten człowiek nie umiał już odczuwać radości istnienia. Zapewne nie pojmował, czym jest duchowość, i co tak naprawdę ma wartość i sens w życiu.

Położyła się na łóżku, na kosztownej jedwabnej kapie, wpatrując się w baldachim z poczuciem tak głębokiego smutku, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie odczuwała w życiu.

A potem zaczęła płakać. Ukryła twarz w dłoniach i zaniosła się długim, żalonym szlochem. I nie płakała nad sobą, upadłym aniołem, ale nad Danielem Lincolnem Stewartem - upadłą duszą.

D.L. zatrzasnął drzwiczki powozu i zerknął w górę.

Z okna na piętrze spoglądała na niego Lili. Potem szybko opuściła firankę, a Daniel wpatrywał się w nią przez chwile, - zanim ruszył po ośnieżonych schodach ku domowi tłumiąc uśmiech - już drugi tego dnia.

Frontowe drzwi otworzyły się gwałtownie, gdy jeszcze był kilka kroków od wejścia.

Zapewne Gage oczekuje podwyżki, pomyślał, po czym przypomniał sobie, że zbliżają się święta Bożego Narodzenia - okres, w którym każdy służący, goniec czy windziarz zaczynał z wielką gorliwością wypełniać swoje obowiązki, licząc na hojny napiwek.

Ku swojemu zdumieniu jednak w drzwiach ujrzał Lillian. Miała na sobie żakiet i rękawiczki oraz kapelusz zawiązany wciąż tą samą, poszarpaną wstążką.

229

Zmarszczył brwi i zerknął raz jeszcze w stronę okna.

- Czy to nie ty byłaś przed chwilą na górze?

Skinęła głową.

Spojrzał na stopnie portyku - było ich osiem. A potem zerknął na potężną klatkę schodową wewnątrz domu.

Dziewczyna musiała pokonać co najmniej czterdzieści stopni. Jak na Boga w tak krótkim czasie zdołała znaleźć się przy drzwiach?

Była zarumieniona i lekko zasapana.

Daniel potrząsnął głową, po czym wskazał na strój Lillian.

- Wybierasz się gdzieś?

- Owszem. Oboje się wybieramy.

- Ach, tak. A dlaczego?

- Powiedziałeś, że mam ci dowieść słuszności swojej teorii. Cóż, jestem gotowa.

- Ale na co właściwie?

- Na dostarczenie ci rozrywki.

Posłał jej długie, znaczące spojrzenie.

Odwzajemniła mu tym samym i wówczas zobaczył, że ma lekko zaczerwienione oczy.

- Czyżbyś znowu płakała?

Szybko spuściła powieki.

- Coś wpadło mi do oka.

- Do obu oczu naraz?

Uniosła buńczucznie głowę.

- Właśnie.

Daniel skrzyżował wojowniczo ręce, tymczasem Lili, nieporuszona jego postawą, wskazała głową na zniszczone sakwojaż.

- Co to takiego? - zapytał.

- Niespodzianka.

Raz jeszcze rzucił okiem na torbę.

Lillian stała w bezruchu, wyczekując.

On też stał nie ruszając się z miejsca, w duchu rozba-wiony.

230

- Chodź - powiedziała w końcu, wsuwając dłoń pod jego ramię i pociągając go w dół po schodach. Stanęli na chodniku akurat w momencie, gdy pojazd Daniela wjeżdżał do powozowni.

- Poczekaj, zawołam powóz.

- Och, nie. - Pociągnęła go za rękaw. - Pójdziemy na piechotę.

- Pada śnieg.

- Wiem - odparła z uśmiechem. - I właśnie to jest takie piękne. Ruszajmy.

Chwilę później z sakwojażem w ręku wędrował ulicą, a Lillian trzymała go pod ramię, szczebiocąc na temat śniegu, miejskiego krajobrazu i mijających ich sań. Nuciała pod nosem bożonarodzeniową piosenkę, uśmiechała się do innych przechodniów i życzyła wesołych świąt kompletnie obcym ludziom.

W końcu chwyciła go za rękę i pociągnęła na drugą stronę ulicy, do parku. Podśpiewując coś o aniołach i dzwoneczkach, poprowadziła go pełną śniegu ścieżką ku polanie

z zamrożonym stawem okolonym drzewami i krzewami obsypanymi białym puchem.

Opadła na parkową ławkę stojącą u stóp pagórka, naprzeciwko stawu, i poklepała miejsce obok siebie.

- Siadaj.

Pochylił się i zgarnął z ławki śnieg.

- Czy wysiadanie na zaśnieżonej ławce jest twoim ideałem rozrywki?

- Oczywiście, że nie. - Wzięła od niego sakwojaż, po

łożyła sobie na kolanach i sięgnęła do środka, po czym spojrzała na Daniela z radosnym uśmiechem. W ręku trzymała parę starych łyżew i zamachała nimi przed jego nosem.

- To dla ciebie - oznajmiła, rzucając mu łyżwy na kolana.

Wbił w nie pełen zdumienia wzrok.

231

- A te są dla mnie - dodała, wyjmując kolejną parę.

- To jest ta twoja niespodzianka?

Skinęła głową.

- I to absolutnie za darmo.

- Skąd je wzięłaś?

- Pożyczyłam. I nie zapłaciłam ani grosza - odparła z dumą w głosie. - A teraz szybko, przypinaj łyżwy. - Sama wsunęła buty w swoje, po czym mocno zacisnęła paski. Uniosła jedną nogę i zaczęła przyglądać się starym łyżwom, jakby były kryształowym pantofelkiem. - Całkiem nieźle. - Wstała i podparła się pod boki. - Na co czekasz? Przypinaj. Zdawało mi się, że lubisz wyzwania.

Pochylił się i włożył łyżwy.

Lillian tymczasem ruszyła już w stronę stawu. Zerknął

na nią. Maszerowała krokiem triumfującej monarchini.

Gdyby ktoś teraz na nią spojrzał, nigdy nie zgadłby, że ma oderwany obrąbek spódnicy i poszarpany jeden z rękawów żakietu.

Przezabawna historia. Po raz pierwszy od wielu lat nic odczuwał wszechogarniającej nudy.

- Pospiesz się! - wykrzyknęła przez ramię melodyjnym głosem. - Kto dotrze ostatni do stawu, będzie musiał

rozdać tysiąc dolarów biednym!

I po raz trzeci tego dnia Daniel uśmiechnął się pod nosem.

- Z jakiej racji mamy płacić dziesięć centów? - Lili z niedowierzaniem wpatrywała się w pracownika parku ubranego w granatowy mundur, stojącego w niewielkiej budce od strony ścieżki osłoniętej gęstymi krzakami.

Mężczyzna wychylił się ku Lillian.

- Bo korzystanie ze ślizgawki właśnie tyle kosztuje.

Usłyszała zbliżające się kroki. Nie miała ochoty spoglą-

dać w ostrą twarz D.L. Stewarta, bo wiedziała, że ujrzy na niej wyraz triumfu.

232

- O co chodzi? - zabrzmiał jego głęboki głos.

Lilii przez chwilę wpatrywała się w ziemię.

- Nie miałam racji - przyznała w końcu. - Za ślizgawkę trzeba zapłacić.

Ledwo to powiedziała, usłyszała brzęk monet, szybko więc podniosła wzrok.

Daniel wyciągał przed siebie dłoń pełną złotych dwu-dziesięciodolarówek.

Potrząsnęła zdecydowanie głową.

-Nie.

Daniel tymczasem zwrócił się ku pracownikowi parku.

- Jak wiele zarabia się tu w ciągu dobrego dnia?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt dolarów.

Daniel wręczył mu trzy złote monety, po czym dorzucił czwartą.

- Proszę uznać to popołudnie za swój dobry dzień i zamknąć budę.

Lilii zamierzała coś powiedzieć, ale Daniel chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą. Chwilę później objął ją rękami w pasie i lekko pchnął na lód.

Zamierzała głośno protestować - ostatecznie zapłacił

za coś, co miało być darmową przyjemnością. Ona wymy

śli w zamian coś innego, przecież wcale nie muszą się ślizgać, ale...

W tej samej chwili zdała sobie sprawę z pewnego drobnego kłopotu.

Nigdy wcześniej nie jeździła na łyżwach.



Po raz drugi tego dnia D.L. spoglądał na Lillian z góry.

Tyle że tym razem leżała jak długa na twardym lodzie.

Przekręciła głowę i zerknęła na jego twarz.

- Właśnie coś odkryłam - powiedziała. - Bez skrzydeł ciężko utrzymywać się w powietrzu.

D.L. przykucnął przy niej.

- Nie ucierpiałaś?

- Ja nie. Jedynie moja duma.

Dźwignęła się na czworaki.

Daniel ponownie chwycił ją w pasie, podniósł w górę, po czym delikatnie postawił na lodzie, nie zdejmując jednak dłoni z jej talii.

- Byłem przekonany, że umiesz się ślizgać na łyżwach.

- Ja też. - Łyżwy zaskrzypiały i pomknęły do przodu, a Lili kurczowo chwyciła Daniela, jakby od tego miało zależeć jej życie. Potem spojrzała na niego zakłopotana. - To wydawało się takie proste, gdy tylko patrzyłam.

- Odwróć się.

- Nie mogę, bo wtedy musiałabym cię puścić.

- Puść więc, a potem odwróć się bardzo powoli.

- Nie umiem dokonywać cudów - mruknęła.

Daniel zawirował wokół niej, tak że teraz stała zwrócona do niego plecami. Cały czas trzymał ją mocno w pasie.

234

- Zsuń razem kostki i wyprostuj plecy. Pomogę ci.

- Ty umiesz jeździć na łyżwach - rzuciła zrezygnowana.

W odpowiedzi zacisnął mocniej dłonie na jej cienkiej talii i popchnął Lillian przed siebie, zgrabnie

ślizgając się na lodzie. Razem szybko okrążyli staw.

- Chwiejesz się, Lillian. Wyprostuj plecy.

Położyła ręce na jego dłoniach i ściągnęła łopatki.

- Masz rację! Tak jest łatwiej!

Kiedy zaczęli nabierać prędkości, Lillian obejrzała się przez ramię. Miała zarumienione policzki i uśmiechała się od ucha do ucha.

- Pyszna zabawa - zachichotała.

Daniel jeszcze przyspieszył, aż w końcu poczuł na twarzy zimny podmuch. Lillian śmiała się coraz głośniej.

Wkrótce otoczył go delikatny, cytrusowy aromat, a dźwięczny śmiech Lillian wzbudził w nim dziwne uczucia. Daniel chciał jak najbardziej przedłużyć tę chwilę najczystszej radości, raz po raz więc okrążali staw.

Spojrzał na Lili akurat w momencie, gdy ona podniosła na niego wzrok. Widok jej szczerzej, szczęśliwej twarzy sprawił, że odezwała się w nim pokora.

Przez lata zaakceptował fakt, że musi żyć w świecie, gdzie - bez względu na to, jak wiele zarabiał i wydawał -

wciąż czuł się wyobcowany.

Od trzydziestu lat czuł w sobie wielką pustkę.

Ale teraz, gdy ślizgał się na łyżwach z Lillian, gdy patrzyła na niego tak, jakby ofiarował jej wszystkie skarby świata, po raz pierwszy odniósł wrażenie, że być może tę pustkę udałoby się jeszcze wypełnić.

To niezwykle, że w tej dziwnej kobiecie, która utrzymywała, że jest upadła, dostrzegł jakąś zagubioną część siebie, dzięki której miałby szansę stać się znowu pełnym człowiekiem.

W końcu zmusił się, by oderwać od niej ręce.

235

- Teraz spróbuj sama - zarządził i pchnął ją lekko przed siebie.

Lili krzyknęła, Daniel jednak stał w miejscu patrząc, jak przebiera niezdarnie nogami i od czasu do czasu wymachuje rękoma, by odzyskać równowagę. Wreszcie przyłożył dłonie do ust i zawołał:

- Trzymaj prosto plecy!

Oczywiście natychmiast zeszywniała.

Potem raz po raz wykrzykiwała jego imię, co rusz wybuchając śmiechem, gdy mknęła w jego stronę zdecydowanie za szybko. Wyciągnął ręce, żeby ją złapać, ale tylko śmignęła mu przed nosem.

Zatrzymała się na pobliskim drzewie. Uderzyła w nie tak mocno, że na ziemię zaczęły spadać wielkie czapy śniegu.

Wprost na nią.

Daniel parsknął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać.

Od stóp do głów Lillian okrywał śnieżny puch.

Puściła pień drzewa i odwróciła się w stronę Daniela, a jej oczy - wyglądające ze śniegu - błyszczały jak dwie nowiutkie monety.

D.L. cały czas pękał ze śmiechu.

Ledwo zdążył się opanować, usłyszał jej głos.

- Hej, Daniel!

Chociaż wcześniej wykrzykiwała wielokrotnie jego imię, gdy usłyszał je tym razem, poczuł dziwne ukłucie w sercu.

~ Oto coś, czego nie można kupić za pieniądze! - powiedziała i rzuciła śnieżką, strącając mu z głowy kapelusz.

Tym razem to ona zaczęła się śmiać.

Ze zdumieniem spojrzął na swój kapelusz, a gdy ponownie zwrócił się ku Lillian, kolejna śnieżna pecyna poleciała w jego stronę i przefrunęła mu tuż koło nosa. Powoli, z szelmowskim błyskiem w oku, ruszył w stronę dziewczyny. Choć nie zdawał sobie z tego sprawy, cały czas się uśmiechał.

236

Lilii stała w głębokiej zaspie zalegającej brzeg skutego lodem stawu.

- Świetna rozrywka! - oznajmiła, po czym posłała następną śnieżkę.

Tym razem musiał się uchylić.

Lillian schyliła się po kolejną porcję śniegu, po czym zerknęła na Daniela.

Wyraz twarzy mężczyzny nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jego intencji.

- Uu-uu... - mruknęła, dostrzegając w jego oczach żądzę zemsty. I chwilę później umykała co sił w

nogach.

Zaczął ją gonić, brnąc przez zaspę. Tymczasem zsunął się jej z głowy kapelusz, a włosy rozsypały się po plecach. Miały niemal taki sam kolor, jak unoszone przez nią obłoki puchu.

W końcu ją pochwycił i wpadli w zaspę, a potem stoczyli się po pagórku pod niewielką kępę drzew. Lillian ca

ły czas się śmiała, nawet gdy już się zatrzymali, a Daniel przyciskał ją do ziemi całym swoim ciężarem.

Śnieg na jej twarzy połyskiwał jak brylanty u Tiffany'ego, jasne włosy ponownie okalały głowę na podobieństwo srebrzystej aureoli. Pierś falowała, a ciepły oddech natychmiast zmieniał się w mroźne obłoczki pary.

I nagle Lillian się uśmiechnęła. Do niego. Dla niego.

Wówczas najnormalniejszą rzeczą na świecie wydało mu się zbliżenie ust do jej warg. Posmakowanie tych warg. To jednak, co stało się chwilę później, było równie niezwykle jak ona niekonwencjonalna.

Całując Lili, Daniel Lincoln Stewart usłyszał srebrzysty dźwięk dzwonek.

Tej nocy śniła, że w parku nie oderwał gwałtownie ust od jej warg. Że nie spojrział na nią tym dziwnym wzrokiem, który Lili znała aż za dobrze. Archaniołowie popatrzyli na nią z równym zdumieniem, gdy niechcący strąciła ich z drabiny. Jakby nie mogli uwierzyć, że ona naprawdę istnieje.

237

W pewnej chwili Lillian sama zaczęła się zastanawiać, czy ten pocałunek naprawdę jej się przydarzył. Był czymś najbliższym raję ze wszystkich przeżyć, jakich doświadczyła na ziemi. Przeciągnęła się leniwie, odrzuciła kołdrę i spuściła nogi z łóżka.

Wciąż spała w jedwabnej koszuli Daniela, która z ledwością sięgała jej do kolan. Ale nie czuła chłodu, nawet gdy mróz malował kwiaty na szybach. W kominku płonął

ogień, dzięki uprzejmości Peg, tej samej pokojówki, która wieczorem przyniosła jej gorącą czekoladę, a wcześniej pożyczyła łyżwy.

Przez okna wpadało światło dnia. Lillian rozsunęła zasłony. Poniżej, na ulicy, w obie strony mknęły powozy, a tam, gdzie jeszcze wczoraj leżał dziewiczy śnieg, teraz tworzyła się już szaro-brązowa breja.

Lili zastanawiała się, czym w tej chwili zajmuje się Daniel. Zapewne zarabia więcej pieniędzy. Zrobiło jej się smutno. Ten człowiek dokładnie wiedział, o ile z każdą minutą powiększa się jego fortuna,

Przez to samo okno patrzyła, jak wyruszał do pracy wczesnym rankiem, zanim ponownie wsunęła się do łóż-

ka. I zanim przyśnił jej się w taki dziwny sposób - był

ubrany jak król z wierszyka dla dzieci, siedział w potężnej wieży i liczył swoje złoto. A wokół stały na straży dwa-dzieścia cztery kruki w czapkach przypominających gi-gantyczne polewy tortów.

Lilii zmarszczyła brwi i pokręciła głową. W tym samym momencie rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Szybko wskoczyła więc do łóżka i podciągnęła kołdrę pod brodę

- Proszę!

Drzwi otworzyły się powoli i stanęła w nich uśmiechnięta Peg.

- Panno Lillian, właśnie dotarły pani kufry.

- Moje kufry? - powtórzyła bezmyślnie.

Peg przytaknęła.

238

Lilii wychyliła się z łóżka i ujrzała, że w holu piętrzą się pudła, skrzynie i pakunki.

- Pani rzeczy. Pan Stewart zapowiedział, że zostaną dostarczone z rana.

- Naprawdę?

Peg zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę ubieralni.

- Przygotuję pani kąpiel, panno Lillian. Pani będzie się pluskać, a tymczasem Gage i ja wszystko tu poznosimy.

Lilii zażyła najkrótszej kąpieli w historii świata. Potem poprosiła Peg, by zostawiła ją na chwilę samą, a gdy dziewczyna wyszła, wpadła do sypialni. Stała na środku, wpatrując się w niezliczone kufry i paczki. Nie miała wątpliwości, że w to, co znajdowało się w środku, można by odziać cały Nowy Jork.

Chwilę później doszła do wniosku, że Daniel wykupił

wszystkie zapasy strojów w mieście. W kufrze z napisem

„Redfern” leżały kostiumy spacerowe z najdelikatniejszego kaszmiru, ozdobione futrem, orazienne suknie z jedwabiu, wykończone ręcznie robionymi koronkami. W pudłach owiniętych srebrną bibułą znajdowały się suknie wizytowe oraz wieczorowe z brokatu i mięsistego aksamitu, satyny i tiulu.

Kolejny kufer, otwierany jak szafa, zawierał płaszcze, futrzane nakrycia głowy i mufki do kompletu, a w jego szufladach spoczywały rękawiczki każdego możliwego koloru oraz bielizna i gorsety, których nigdy nie miałyby ochoty oglądać.

Wzdłuż ściany stało co najmniej trzydzieści pudeł na kapelusze oraz taka sama liczba pudeł z butami oraz wel-wetowych woreczków, w które zapakowano stanowiące komplet z nimi torebki. W przeciwległym kącie znajdowa

ły się udrapowane w tiul i wstążki pudła z nadrukiem

„Dom Mody Worth”.

Lilii chwyciła pierwsze z nich i zaniósła na łóżko, na którym sama usiadła po turecku. Rozwiązała kokardę, podniosła wieko i rozsunęła bibułki.

239

Na moment serce przestało jej bić z wrażenia.

Wewnątrz leżała suknia ze śnieżnobiałego aksamitu ze spódnicą z pajęczej koronki. Aksamit był miękki i biały niczym obłok, a wzór koronki wydawał się bardziej skomplikowany niż układ wszystkich konstelacji gwiazd. To była najpiękniejsza rzecz, jaką widziała na ziemi.

Nie śmiejąc głębiej odetchnąć, wyjęła suknię i uniosła w górę. Koronka była przetykana cieniutką, srebrną nicią, która odbijała światło ognia płonącego w kominku i błyskała tak jasno, jak najpiękniej wypolerowana poświata obłoku.

Suknia wydawała się pochodzić wprost z raju. Jej raju.

Przywoływała tak wiele pięknych wspomnień.

Lillian przytuliła ją do piersi i z mokrymi oczami siedziała długo w bezruchu, nie zdając sobie sprawy, że nie jest już sama w pokoju.

- Byłem pewien, że ta suknia przypadnie ci do gustu. -

Daniel stał w drzwiach, patrząc na nią w sposób, który jasno wskazywał, że czegoś nie pojmuje.

- Wszystko jest piękne.

- Tak piękne, że znowu zalewasz się łzami.

Spojrzała na niego z nostalgią.

- Po prostu przypomniałam sobie coś, co utraciłam.

Daniel zeszywniał. W jego oczach pojawił się gniew.

- Ubierz się - rzucił ostro.

Nie mogła pojąć przyczyny tej nagłej złości.

Tymczasem jego spojrzenie stawało się coraz bard/ ic|

lodowate, a twarz coraz bardziej kamienna.

- I zjedź na dół. Jak najszybciej.

- Wychodzimy?

- Tak. - Zatrzymał się z ręką na kłamce i zwrócił raz jeszcze w jej stronę. - Nie wiem, kto ci to zrobił - rzucił

przez zaciśnięte zęby. - Ale z największą chęcią porachowałbym mu kości.

I zanim zdążyła się odezwać, zniknął za drzwiami.

240

Lillian spoglądała za nim zupełnie oszołomiona. Ona sama sobie to zrobiła. Jeżeli więc miałby ochotę porachować kości istocie, która doprowadziła do obecnej sytuacji, to miał ją pod nosem.

Odłożyła białą suknię, wygrzebała się z łóżka i chwyciła granatowy kostium, po czym ruszyła w stronę garderoby.

Stanęła przed lustrem i ze zdumieniem spojrzała na swoje usta. Wyglądały jakoś inaczej. Wydawały się pełniejsze. Czyżby po pocałunku powiększały się wargi? Dotknęła ich lekko i uśmiechnęła się beztrąsko.

Po pocałunku w parku nie miałyby nic przeciwko temu, żeby Daniel zabrał się do rachowania jej kości.

D.L. wręczył Karłowi dokumenty i podniósł się zza biurka. Potem wyszli do holu. Daniel oparł się o zwieńczenie poręczy schodów i patrzył, jak prawnik wciska papiery do teczki. Przez całe spotkanie ani słowa nie wspomiał

przyjacielowi o obecności Lilii w tym domu.

Bo też nie umiałby sensownie wytłumaczyć, czemu chciał, żeby tu zamieszkała. Nie istniało po temu żadne logiczne wyjaśnienie. Rozrywka, wyzwanie, towarzystwo -

te argumenty brzmiały nieprzekonująco.

Poza tym w gruncie rzeczy Daniel nie miał ochoty nikomu tłumaczyć, czemu postanowił przyjąć pod swój dach kobietę, która twierdziła, że jest bezdomna; czemu chciał mieć przy sobie tę dziewczynę o

zapewne zszarganej reputacji. W tej chwili wiedział tylko jedno: nie obchodziło go, kim lub czym była. Nie był jednak jeszcze gotów, by się nad tym głębiej zastanowić. Co się zaś tyczyło ugody, sama myśl o tym dokumencie działała mu na nerwy.

W jego odczuciu owa ugoda redukowała Lillian do jednego podpisu na kawałku papieru.

Karl zatrzymał się tuż przy drzwiach.

Zapomniałem cię zapytać. Doprowadziłeś już do podpisania ugody?

241

-Nie.

- Czy mi się zdawało, czy też mówiłeś, że wiesz, gdzie przebywa ta dziewczyna?

D.L. mocniej zacisnął dłoń na zwieńczeniu balustrady.

- Zajmę się tym.

- Pamiętaj, że to ważne. Musisz się z nią skontaktować.

D.L. nie mógł się już doczekać, by Karl wreszcie opuścił

progi domu. Postąpił więc krok w stronę drzwi, lecz w tym samym momencie pochwycił kątem oka jakiś granatowy błysk u szczytu schodów. Zerknął w górę, przeczuwając katastrofę.

Lilii nawet nie zerknęła w dół. Oszołomiony Daniel patrzył, jak dziewczyna śmiało siada na balustradzie.

Chwilę później sunęła po poręczy, podśpiewując głu-pawo, że to nawet lepsze od fruwania w raj. Na moment przed lądowaniem spostrzegła Daniela i cicho jęknęła pod nosem.

To był ostatni dźwięk, jaki pochwycił D.L., zanim Lilii wpadła na niego w pełnym impecie.

Nie wiadomo kiedy znalazł się na marmurowej podłodze holu, próbując złapać oddech. Zamrugał gwałtownie powiekami i w pierwszym momencie ujrzał wirujące gwiazdy, a zaraz potem zdumioną twarz Lillian. Potrzą-

snął parę razy głową, by dojść do przytomności.

Leżała rozciągnięta na nim, z nosem zaledwie kilka centymetrów od jego nosa, wpatrując się w niego z zakło-potaniem.

- Wiesz... - zagadnęła po chwili, machając mu palcom przed oczami - ...właśnie o tobie myślałam.

- Zjechałaś po poręczy - rzucił Daniel pełnym niedowierzania głosem.



- Kazałeś mi jak najszybciej znaleźć się na dole od parła, wzruszając ramionami.

Daniel tymczasem zdołał usiąść, wciąż jednak przyciskał dziewczynę do piersi. Lili pisnęła cicho i chwyciła go za szyję. Spojrzeli sobie miękko w oczy i wówczas wróciła 242

do nich wspomnienie wczorajszej zabawy na śniegu.

Oboje jednocześnie parsknęli śmiechem.

- Cóż, D.L....

Daniel zmartwiał, po czym powoli się odwrócił.

Karl ze znaczącym wyrazem twarzy opierał się o frontowe drzwi. Po chwili uśmiechnął się sardonicznie.

- Zdaje się, że znalazłeś swoją zgubę.

To był jeden z najdłuższych dni w jego życiu. Kiedy Daniel wreszcie pozbył się Karla, zasłaniając się jakąś kiepską wymówką, która dla nich obu była oczywistym mydleniem oczu, postanowił sprawić Lili jakis prezent, aby mogła zapomnieć o smutnej przeszłości.

Zrobił więc najbardziej naturalną rzecz na świecie - zabrał ją do Tiffany'ego.

Kiedy popatrzyła na brylanty orzekła, że są „przyjemne”. Starając się być grzeczną, zgodziła się z łysym sprzedawcą, że rzeczywiście przypominają gwiazdy. D.L. jednak od razu się zorientował, że brylanty nie przywrócą blasku oczom Lillian.

Szafiry były „całkiem ładne”, idealnie szlifowane rubiny i szmaragdy zostały sprowadzone do miana „tych czerwonych i zielonych kamieni”, natomiast perły... na Bo-ga... D.L. zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek zdoła spojrzeć na perły, nie mając przed oczami wyrazu nieskończonego bólu na twarzy Lili.

Patrzyła na perły, jakby były źródłem jej największego upokorzenia. Mruknęła coś na temat rajskich wrót, a po tern spokojnie zapytała niemal wszystkich obecnych, czy oni też uważają, że perły przypominają anielskie łzy.

Dwie godziny później, gdy w innym kącie sklepu Lillian przyglądała się jakiejś wystawie, Daniel potajemnie 244

kupił brylantową biżuterię, a także kilka klejnotów wykonanych z „tych czerwonych i zielonych kamieni”, po czym poprosił o dostarczenie zakupów do domu.

Sprzedawca w dziale jubilerskim odetchnął z ulgą i, ocierając chustką błyszczącą od potu łysinę, zniknął na zapleczu.

Kiedy wyszli w końcu od Tiffany'ego, Lillian miała w uszach niezwyklej urody kolczyki z brylantami, na widok których każda dama z towarzystwa zemdlałaby ze szczęścia. Daniel wiedział jednak, że dziewczyna zdecydowała się na nie jedynie z dobroci serca. Podstępem sprowokował ją do tego zakupu, wspominając mimochodem, że sprzedawca ma na utrzymaniu dziesięć dzieci, a żyje jedynie z procentu od sprzedaży.

Miała też na sobie jeszcze jedną ozdobę - skromną złotą broszkę w kształcie skrzydełek. To była jedyna rzecz, która przyciągnęła jej uwagę i której zakup nieco poprawił jej humor.

Teraz nadszedł wieczór i oboje siedzieli w powozie, jadąc do opery, gdzie koncertem muzyki symfonicznej rozpoczynano świąteczny sezon. Podczas tego typu wydarzeń towarzyskich Daniel załatwiał większość swoich interesów.

Obecność na nich nie była obowiązkowa, ale konieczna dla sprawnego funkcjonowania w świecie biznesu i finansjery.

Lilii była nienaturalnie milcząca, wyglądała za to ba-

śniowo. Królowa śniegu - w białej sukni od Wortha, w białej, podbitej futrem narzutce, z włosami upiętymi szykownie za pomocą srebrnych grzebieni, w których raz po raz odbijały się uliczne światła. Na specjalną prośbę Daniela włożyła też brylanty.

Napięcie w powozie gęstniało z każdą chwilą i powoli stawało się wręcz namacalne. D.L., człowiek, który radził

sobie bez trudu z najtwardszymi przedsiębiorcami i bankowcami, nie wiedział, jak sobie poradzić z jedną drobną kobietą o imieniu Lillian.

245

Miał nieprzyjemne uczucie, że w opinii tej dziewczyny popełniał nieustannie gafy. Wszystko, co robił, obraca

ło się przeciwko niemu.

Zaparło mu dech w piersi z wrażenia, gdy pojawiła się na dole - tym razem majestatycznie schodząc po schodach, a nie śmigając po poręczy. Natychmiast więc uraczył

ją komplementem. Do tej pory żył w przekonaniu, że komplementy sprawiają kobietom przyjemność i dodają im pewności siebie.

Lilii tymczasem spojrzała na niego takim wzrokiem, jakby zaraz miała się rozplakać lub cisnąć czymś ciężkim.

Teraz, gdy powóz toczył się pokrytymi lodową breją ulicami przesiąkniętymi mroźną wilgocią, spoglądała w milczeniu przez zaparowane okno, a w jej oczach nie było ani cienia radości.

- Sprawiasz wrażenie bardzo nieszczęśliwej.

Popatrzyła na niego smutno i pokręciła głową.

- Nie jestem bardzo nieszczęśliwa.

- Nie rozumiem cię. Od kilku minut uparcie się zastanawiam, co, do diabła, jest nie w porządku. -  
Usłyszał

w swoim głosie nutę gniewu, szybko więc dorzucił łagodnie: - To, co powiedziałem, było absolutnie szczere.

- Kiedy?

- Wtedy, gdy zeszłaś na dół. Gdy skomentowałem twój wygląd.

- A, tak. - Ponownie odwróciła twarz w stronę okna.

Pamiętam. Uznałeś, że pięknie potrafię nosić na sobie fortunę.

Sądząc po jej tonie, można by przypuszczać, że wy tknął jej ropiejący wrzód na nosie. Czuł się jak kompletny idiota. Przez cały dzień, choć nie wiedzieć jak się starał, nie potrafił sprawić jej najdrobniejszej przyjemności. To doprowadzało go do szału.

Chwilę później powóz zatrzymał się na rogu ulicy, przy której wznosił się gmach opery. Daniel otworzył

246

drzwi i pomógł Lillian wysiąść, po czym wziął ją pod ramię. Tuż przed nimi kłębiła się elita towarzyska Nowego Jorku, ciągnąc po długich schodach na podobieństwo bydła podążającego do żłobu.

Wzdłuż chodników i pod ścianami pobliskich budynków stali gapie żądni widoku Vanderbiltów i Rockefellerów. A także żebracy, mający nadzieję na drobne datki, osłonięci wełnianymi chustami, z pordzewiałymi puszkami w dłoniach.

Lilii spojrzała na jednego z biedaków i stanęła jak wryta. Wsunęła ramię spod ramienia Daniela i ruszyła ku żebrzącym ze zdjętą smutkiem twarzą.

- Lillian.

Całkowicie go zignorowała.

Daniel tymczasem patrzył z przerażeniem, jak Lilli zdejmuje jeden z niebotycznie kosztownych kolczyków z oczywistym zamiarem wrzucenia go do najbliższej puszki.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - wykrzyknął, chwytając ją za rękę.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, które natychmiast przerodziło się w zatroskanie. Przeniosła wzrok na biedaków, z zaraz potem znów na twarz Daniela.

- Ktoś musi pomóc tym ludziom - szepnęła, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Na Boga... czy on nam kiedykolwiek w życiu miał w sobie tyle niewinności?

- Bez względu na to, jak przepojone samotnością jest twoje życie, Danielu, musisz pamiętać, że nie każdy ma w sobie tyle siły, by radzić sobie sam.

Gdy to usłyszał, wiedział, że przepadł z kretesem.

Lillian tymczasem ciągnęła jeszcze cichszym głosem.

- To mogą być upadłe anioły.

Sięgnął do kieszeni i wyjął garść monet, a potem, glo

em bardziej szorstkim niż zamierzał, rzucił: 247

- Włóż ten kolczyk z powrotem.

Po czym zaczął rozdawać pieniądze.

A już chwilę później otrzymał dar cenniejszy od wszelkich pieniędzy świata.

Lilii obdarzyła go uśmiechem!

Ten wieczór dłużył jej się niemiłosiernie.

Poznała co najmniej setkę ludzi podobnych do Daniela.

Kobiety wbijały w jej biżuterię pożądliwe spojrzenia. Mężczyźni mówili o pieniądzach i interesach, ale też patrzyli na nią - tym razem na nią, nie na jej biżuterię - pełnym po

żądania wzrokiem. Dwóch z nich uszczypnęło ją nawet w pośladek, gdy Daniel na moment odwrócił głowę.

Nie była już w stanie zliczyć, ile osób powiedziało jej:

„Suknia od Wortha? Jakże zachwycająca”, w gruncie rzeczy nie mając wcale na myśli urody stroju.

Lillian w pewnym momencie zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem piekło nie przypomina wielkiego przyjęcia dla nowojorskiej socjety.

No i Daniel. Od chwili gdy weszli do foyer, trzymał ją nieustannie przy sobie, ani na chwilę nie puszczał jej ramienia, a od czasu do czasu przyciskał je silnie do swojego boku. Niekiedy też spoglądał na nią wzrokiem, w którym czaił się cień obsesji - jakby była czymś niezbędnym i rozpaczliwie potrzebnym mu do życia.

To zachowanie całkowicie zbiło ją z tropu, bo wskazywało na pewną emocjonalną kruchość, której wcześniej nie dostrzegła i o którą nigdy by go nie podejrzewała.

Napięcie nieustannie wzrastało, wprawiając ją w za-kłopotanie. Poczula więc wielką ulgę, gdy niespodziewanie wieczór zakończył się szybciej, niż planowano.

Jednym z punktów koncertu było solo na harfie.

Lilii siedziała w łoży, podpierając dłonią czoło, gdy nagle... bang, bang, bang... jedna po drugiej... zaczęły pękać struny harfy!

A więc niektóre rzeczy pozostały niezmiennie - czy to w raju, czy tu, na ziemi. No chyba że Pan Bóg odznaczał

się dziwnym poczuciem humoru.

Godzinę później Lillian stała w złotej sypialni, mając na sobie jedwabną koszulę Daniela - bo w niej najbardziej lubiła sypiać - i spoglądała przez okno na świat, którego nie rozumiała. Zdjęta nagłym, niewytłumaczalnym impulsem, wyciągnęła palec i wyrysowała serduszko na zmrożonej szybie.

W tym samym momencie zdała sobie sprawę, że nie jest sama w pokoju.

Odwróciła się i ujrzała Daniela właśnie zamykającego za sobą drzwi. Kiedy oderwał dłoń od klamki, oparł się o framugę i skrzyżował ręce na piersi.

Przyglądał jej się w taki sposób, jakby już nigdy nie zamierzał oderwać od niej oczu. Wciąż miał na sobie wieczorową koszulę i spodnie od fraku, ale rzucił gdzieś biały krawat, a także onyksowo-brylantowe spinki kołnierzyka.

Daniel stał w swobodnej, niewymuszonej pozie, Lilli nie miała jednak wątpliwości, że swoją postawą chciał ją na swój sposób onieśmielić. Pokazać, że jest jej protektorem. Chował się za maską, bo nie chciał ujawnić, że ogarnia go strach - strach, że Lillian mogłaby go opuścić.

Wyraźnie widziała drganie jego mocno zarysowanej szczęki, napięcie mięśni szyi i niejasne pragnienie wyzierające z ciemnych oczu. Podeszła do łóżka i usadowiła się na nim nie wiedząc, czemu Daniel zjawił się w jej pokoju i dlaczego ona sama czuje się nagle tak bezbronna i krucha.

Z przekrzywioną głową wpatrywała się w jego twarz, szukając odpowiedzi na swoje pytania.

- Dlaczego zawsze patrzysz na mnie w taki sposób? -

odezwała się w końcu.

Stanął w nogach łóżka.

- To znaczy w jaki?

- Jakbyś był głodny.

Zaskoczyła go swoimi słowami.

Parsknął sardonycznym śmiechem.

- Czyż to nie oczywiste? Gdzieś po drodze zagubiłem swoją twarz pokerzysty.

Istniało między nimi dziwne przyciąganie. Lillian czu

ła je od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzała tego człowieka. Teraz to przyciąganie było tak silne, że niemal fizycznie namacalne.

Daniel tymczasem przyklęknął obok niej, jedną ręką ujmując jej podbródek, drugą gładząc gęste, jasne włosy.

A potem przytulił ją do siebie delikatnie - zbyt delikatnie jak na tak potężnego mężczyznę.

Lekko musnął ustami jej wargi, objął ją dłońmi w pasie, posadził sobie na kolanach i pocałował - teraz już mocno, namiętnie.

Lillian ogarnęło nieznane wcześniej uczucie - nagle miała dziwne wrażenie, że znalazła się pośród gwiazd.

Daniel wodził palcami po jej twarzy, a potem oderwał

usta od jej warg tylko po to, by całować powieki, policzki i uszy.

- Pozwól, żebym pomógł ci zapomnieć o przeszłości, Lillian. Zapomnieć o człowieku, który doprowadził do twojej ruiny.

Ujęła jego twarz w drobne dłonie.

- Nikt mnie nie zrujnował, Danielu. To wszystko tylko moja wina.

D.L. zmrużył oczy i przesunął kciukiem po jej dolnej wardze.

- Jesteś zbyt wielkoduszna. Tylko mężczyzna może doprowadzić kobietę do upadku.

Oszołomiona odsunęła się od niego i opuściła dłonie.

- Co takiego?

- Dobrze wiem, co cię spotkało. Płakałaś z tego powodu tuż po wypadku.

250

- Uważasz, że jestem upadłą kobietą? - Z trudnością powstrzymywała się od uśmiechu.

Spojrzał jej uważnie prosto w oczy.

- Sama to przyznałaś, Lili. Powiedziałaś, że jesteś upadła i zhańbiona. Nie chcesz mi powiedzieć, skąd pochodzisz. Uznałem, że zostałaś wydziedziczona.

Zaśmiała się - nie za głośno - ale dźwięcznie i wyraźnie.

Tymczasem wyraz twarzy Daniela jasno świadczył, że nie widzi w obecnej sytuacji nic zabawnego.

- Ależ ja w żadnym razie nie jestem upadłą kobietą. Jestem upadłym aniołem.



Nazwij to, jak chcesz, Lillian. Upadła kobieta. Upadły anioł. Zbrukana gołębicą. Jest mi doprawdy wszystko jedno. - D.L. chwycił ją w ramiona. - Twoja przeszłość mnie nie interesuje.

- Nie. - Lili stanowczo pokręciła głową. - Ja naprawdę jestem aniołem. A w każdym razie byłam.

Spojrzał na nią przekonany, że żartuje.

- Poważnie. Miałam aureolę i skrzydła, ale nie umiałam dokonywać cudów, więc...

Odezwała się w nim urażona duma. Gwałtownie poderwał się z łóżka.

- Jeżeli nie masz ochoty... po prostu powiedz. Nie zasłaniaj się tak idiotycznymi wymówkami.

- Ależ ja mówię prawdę.

- Chcesz, abym uwierzył, że jesteś aniołem!?

- Upadłym aniołem.

Skrzyżował ramiona i oparł się o słupek baldachimu.

- Udowodnij to - zażądał.

- Nie wiem, jak mogłabym ci to udowodnić. To ty mi powiedz, co mam zrobić, żebyś mi uwierzył.

- Skoro jesteś niebiańską istotą, wymyśl coś. - Jego głos ociekał sarkazmem. - Poproś o boskie natchnienie Do diabła... - zaczął gniewnie machać rękami - ...rozwiń skrzydła i przeleć się wokół tego cholernego pokoju.

252

- Czemu tak się złościysz? Nie mogę zmienić tego, kim jestem.

- Dlaczego więc wymyślasz te idiotyczne historyjki?

Powiedziałem ci, że nie obchodzi mnie, kim jesteś, a nawet kim byłaś. Tylko... tylko mnie nie okłamuj!

- Nie chcesz mi uwierzyć!

- Twierdzisz, że jesteś aniołem i oczekujesz, że uwierzę w coś podobnego? - Przeczesał dłonią włosy i odsunął się od łóżka. - Na Boga, to dowcip wart miliona dolarów!

Lilii posłała mu swoje szczególne spojrzenie - spojrzenie, które dobitniej niż jakiegokolwiek słowa wyrażało, że ponownie ją zawiódł.

- Czemu mnie nie dziwi, że użyłeś podobnych słów?

Zastygł w bezruchu.

- A co ci się w nich nie podoba?

- Chcesz usłyszeć szczerą odpowiedź?

- To ty jesteś aniołem - zaśmiał się lodowato. - Ty mi powiedz.

- W porządku. Wydaje mi się, że chcesz usłyszeć prawdę, a więc odpowiem ci szczerze, choć to, co usłyszysz, nie będzie miłe. Umiesz rozumować jedynie w kategoriach pieniądza. Dla ciebie wszystko sprowadza się do wymiernej wartości. Proponujesz mi pieniądze za to, żebym cię wysłuchała i żebym wsiadła do twojego powozu. Cały czas usiłujesz kupować wszystkich i wszystko wokół.

Stał jak wmurowany, wsłuchując się w słowa, których nie miał ochoty wysłuchiwać, szczególnie z ust tej dziewczyny.

- Nie umiesz nawet powiedzieć kobiecie komplemen-tu, Danielu. Czy powiedziałaś: „Lillian, wyglądasz uroczo?”. Nie. Zauważyłeś że „pięknie potrafię obnosić na sobie fortunę”.

Gdy słuchał tego, co sam powiedział, odniósł wrażenie, że zachował się jak nadęty bufon.

253

- Czyżbyś nie zdawał sobie sprawy, że są rzeczy cenniejsze od pieniędzy i złota?

Zachował kamienną minę, ale gdzieś w głębi duszy czuł się poruszony szczerością jej głosu.

- Doprawdy nie potrafisz tego pojąć? Ludzi nie wolno kupować. Należy im okazywać szacunek. Nawet najędzniejszy żebrak w Nowym Jorku nadal jest ludzką istotą. Czy doprawdy nigdy nie czujesz potrzeby, by bezinteresownie pomóc któremuś z nich - choćby jednemu?

Stał z wysoko uniesioną głową i pociemniałą twarzą -

wyniosły, milczący.

- I tylko rozejrzyj się po własnym domu.

- A co jest nie w porządku z moim domem?

- Ty kolekcjonujesz przedmioty.

- W twoich ustach brzmi to jak przestępstwo.

- Nie przestępstwo. To smutne. Spójrz choćby na ten pokój.

Zerknął pobieżnie po zgromadzonych sprzętach. Nic dojrzał nic niestosownego. Wszystko było w jak najlepszym gatunku.

- No i?

- Jest pełen kosztownych rzeczy. Bezcennej sztuki, wspaniałej porcelany, a nie ma w nim... nic żywego. I do tego ten kolor.

- Co ci się w nim nie podoba?

- Otwórz szeroko oczy. Wszystko jest złote - jakby złoto i bogactwo były najważniejsze na świecie. To nie jest dom do mieszkania. To świątynia ku czci wszechpotężnego dolara.

Daniel nie rozglądał się już po pokoju. Patrzył prosto w oczy Lillian.

- Krytykujesz mój dom, bo nie chcę uwierzyć w In idiotyczne stwierdzenie, że jesteś aniołem.

- Skąd! Ty nic nie rozumiesz.

254

- Podobno jesteś wysłannikiem niebios. Spraw więc cud - spraw, bym zrozumiał.

Lilii zaczęła nerwowo przechadzać się wzdłuż łóżka.

W końcu zatrzymała się i spojrzała mu w twarz.

- Dobrze. Nadchodzą święta. Jaka jest pierwsza rzecz, która przychodzi ci do głowy, gdy słyszysz „Boże Narodzenie”?

Napiwki, pomyślał, ale szybciej dałby sobie rękę uciąć, niżby się do tego przyznał.

- Aha! - Lilii wyciągnęła palec w jego stronę. - Od razu pomyślałeś o pieniądzach.

- Nie możesz wiedzieć, o czym pomyślałem.

- Jestem pewna. Dojrzałam ten szczególny błysk zachłanności w twoich oczach. Nigdzie w tym domu nie ma śladu zbliżających się świąt. Ani jednej zielonej gałązki.

Ani jednego drzewka. Nic. A twoi służący?

- O co ci chodzi tym razem?

- Czy dajesz im wolne, żeby mogli spędzić święta z rodziną?

- Zostaną sownie wynagrodzeni za rozłąkę.

- Znowu pieniądze!

Podeszła do niego i położyła mu dłonie na piersi, a potem spojrzała tak, jakby miała nadzieję, że Daniel nagle stanie się kimś innym - tyle że on nie pojmował, czego w istocie od niego oczekuje.

- Nie mógłbyś przynajmniej spróbować?

Kiedy patrzyła na niego w taki sposób, był niemal przekonany, że mógłby przedzierzgnąć się w innego człowieka. Nie rozumiał jednak, o co właściwie prosi go Lillian. I ogarnął go lęk.

Powoli wędrował wzrokiem po jej twarzy, ciele i nogach widocznych spod koszuli. Jego gniew przeradzał się w pożądanie narastające od tej pierwszej nocy, gdy przy

łapała go, jak się w nią wpatrywał.

Bardzo pragnął tej dziewczyny - teraz, natychmiast -

ale duma nie pozwalała mu zapomnieć, że od bardzo wie-

lu lat wszystko musiało się toczyć na jego warunkach. To on i tylko on określał reguły.

- Proszę, nie patrz na mnie w taki sposób.

- Czemu nie? Ostatecznie zapłaciłem za ten przywilej.

Skuliła się w sobie, jakby ją uderzył.

Daniel żałował, że wypowiedział owe słowa, ale -

przepełniony dumą, żądzą i upokorzeniem odrzucenia

- jedynie milczał wyniośle. Sam dobrze nie umiałby w tej chwili wyjaśnić, co czuł i co właściwie myślał.

Lilii odsunęła się od niego gwałtownie, unosząc rękę takim ruchem, jakby osłaniała się przed demonem, a jej twarz wyrażała ból i przerażenie.

- Nie jestem w stanie temu podołać - wyszeptała.

Nie jestem.

Wyglądała tak, jakby miała zamiar natychmiast uciec.

Daniel chwycił ją mocno za ramię.

- Nie odchodź, Lilii. Nie opuszczaj mnie.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

- O co chodzi, Danielu? - wyszeptwała w końcu. - Wła

ściwie czego się tak bardzo boisz?

Potrząsnął gwałtownie głową.

- Obiecaj mi tylko, że nie znikniesz tak, jak po przednio.

- Dlaczego miałabym ci to obiecać?

Puścił ją i przesunął dłonią po włosach.

- Wybacz mi ~ rzucił.

Odwrócił się na pięcie z niemiłym przeświadczeniem, że całkowicie się przed nią odkrył, obnażył swoją duszę, Odsunął się od Lillian, bo musiał spokojnie zebrać myśli, a nie mógł tego zrobić, gdy patrzyła na niego tym swoim szczególnym wzrokiem. Zdecydowanym krokiem przeszedł przez pokój i otworzył drzwi.

- Danielu? - odezwała się tak cicho, że w pierwszej chwili nie był pewien, czy rzeczywiście usłyszał swoje imię.

256

Zatrzymał się i głośno zaczerpnął tchu.

- Zostanę - oznajmiła stanowczym tonem.

Powoli wypuścił powietrze i przestał tak kurczowo ścisnąć klamkę. Skinął jedynie głową, bo nie mógł wydobyć z siebie głosu, po czym, opuścił sypialnię Lili, cicho zamykając za sobą drzwi.

Oparł się na moment o gładkie drewno, a przez głowę przebiegła mu zupełnie niedorzeczna myśl. Może ona naprawdę była aniołem.

Lili stała przy oknie i patrzyła, jak powóz Daniela odjeżdża spod domu. Tego ranka wyjechał później niż zwykle. Wiedziała, bo tym razem pilnie czekała na jego wyjście.

Kiedy tylko pojazd zniknął za rogiem, narzuciła ciemnoczerwony płaszcz i kapelusz-budkę w takim samym kolorze.

Ruszyła w stronę drzwi sypialni, po czym zatrzymała się gwałtownie, strzeliła palcami i wróciła po torebkę leżącą na krześle. Ponownie podeszła ku drzwiom i przyłożyła do nich ucho, by sprawdzić, czy nikt nie kręci się po holu.

Potem wyjrzała na korytarz i popatrzyła na wszystkie strony. Pobiegnęła na podest. Wychyliła się przez balustradę i zerknęła na dół.

Nikogo w zasięgu wzroku.

Na palcach zaczęła schodzić po schodach. Chwilę później jednak usiadła na poręczy i szybko zsunęła się po niej, tym razem lądując miękko i bezgłośnie.

Nie minęła minuta, a już różnym krokiem maszerowa chodnikiem, ani razu nie oglądając się w stronę domu.

D.L., z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni, stał

przy oknie w swoim biurze i przyglądał się ruchowi ulicznemu. Przez tłum przebijał się młody goniec w granatowym uniformie ze złotymi epoletami oraz w obrzeżonej złotym galonem czapce.

257

Kilka sekund później zazgrzytał łańcuch windy. Daniel czekał w napięciu. Po chwili otworzyły się drzwi gabinetu i do środka wpadł zdyszany chłopak.

- Biegłem najszybciej, jak mogłem, panie Stewart! Rozmawiałem z pańskim lokajem i dowiedziałem się, że pan-na Lillian jeszcze śpi.

Daniel odetchnął z ulgą, zacisnął powieki i oparł się o parapet. Napięcie, które czuł przez cały ranek, wreszcie go opuściło. W tym momencie uświadomił sobie, że musi natychmiast wziąć się w garść, wyprostował się więc energicznie i wyciągnął z kieszeni złotą dziesięciodola-rówkę.

- To doskonale - odparł, rzucając monetę w stroni; chłopaka.

Goniec zręcznie złapał ją w powietrzu.

- Dziękuję panu. - Chłopak uklonił się i ruszył do wyjścia.

- Willy?

- Tak, proszę pana?

- Gdzie mieszka twoja rodzina?

Willy'emu aż szczęka opadła z wrażenia, szybko jednak się zreflektował i zamknął usta.

- W Hoboken, panie Stewart.

D.L. skinął głową, po czym znowu zaczął wyglądać przez okno.

- Jeżeli chce się kupić drzewko i inne ozdoby bożonarodzeniowe, gdzie należałoby się udać?

- Najświeższe choinki można dostać przy Washington Market, w pobliżu doków. Większość barek tam właśnie wyładowuje swój towar.

- Rozumiem - odrzekł Daniel, wyraźnie zamyślony.

Minęło kilka minut i w końcu Willy odchrząknął gło-

śno. D.L. zwrócił się w jego stronę.

- Czy to wszystko, proszę pana?

- Tak. - Daniel sięgnął do kieszeni i wyjął jeszcze kilku 258

złotych monet. Wpatrywał się w nie przez chwilę, po czym przeniósł wzrok na Willy'ego.

- Weź dwa dni wolne przed świętami i spędź ten czas razem z rodziną.

- Ależ, panie Stewart...

D.L. wręczył chłopakowi pieniądze.

- Potraktuj to jako zapłatę za użyteczną informację.

Biegnij już.

Willy roześmiał się od ucha do ucha.

- Tak jest, dziękuję panu!

Zanim za chłopakiem zatrzasnęły się drzwi, do gabinetu dotarł jeszcze radosny okrzyk „hurra!”. Daniel uśmiechnął się pod nosem, sięgnął po płaszcz i kapelusz, po czym, wciąż z uśmiechem na ustach, wyszedł ze swojego biura.

Kilka minut później jego powóz był już na dolnym Manhattanie i skręcał w Washington Market.

D.L. przechadzał się po targowisku, ulokowanym wzdłuż nabrzeża, gdzie zgromadzono choinki i inne typowe dla świątecznego okresu rośliny. Budki kupców miały kształt wielkich beczek z okienkami zasłanianymi drewnianymi kratkami. Każda z nich była przystrojona girlandą z gałęzi o różnym odcieniu zieleni, pochodzących

/, innego miejsca - od Maine aż po Catskills.

Daniel powiesił sobie na szyi trzy zielone wieńce, a z niesionego przez niego kosza wychylały się czerwone róże, ga

łęzie ostrokrzewu i szpule czerwonej wstążki. Jednak najbardziej dumny był z zakupu bukietu świeżych białych lilii.

Wędrując nabrzeżem i wdychając żywiczny zapach iglaków, próbował wyobrazić sobie wyraz twarzy Lili, gdy zjawi się w domu z tymi wszystkimi zakupami.

Nie było to trudne zadanie, bo nagle zobaczył ją stojącą zaledwie parę metrów od niego.

Schylała się właśnie nad małym chłopcem, który wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.  
Dziecko trzy-259

mało w jednej ręczce cynowy gwizdek, a w drugiej - mechaniczną krowę z dużym dzwonkiem na szyi.

D.L. podszedł bliżej, by dobrze usłyszeć słowa dziewczyny.

- Tak, Alfredzie, to najszczerza prawda. Czyżbyś nigdy wcześniej o tym nie słyszał?

Chłopiec energicznie zaprzeczył.

Lillian przykucnęła, by jej twarz znalazła się na poziomie twarzy dziecka.

- Powtórzę więc jeszcze raz, żebyś na pewno dobrze zapamiętał: za każdym odgłosem gwizdka jeden z anio

łów opuszcza rajskie zgromadzenie. - Ściągnęła brwi z dezaprobatą.

Tymczasem chłopiec roześmiał się z niedowierzaniem.

- Ale ilekroć zadzwięczy dzwonek, jakiś anioł dostaje skrzydła i aureolę.

Uśmiechnęła się i z przekonaniem pokiwała głową.

Dziecko spojrzało na gwizdek, a potem na krowę.

Odłożyło cynową rurkę i pobiegło do matki, by oznajmić, że woli dostać Łaciatą.

Lilii wstała, ale tylko po to, by za chwilę pochylić się nad koszykiem pełnym jedliny. Okręciła się na pięcie z uśmiechem, po czym zmartwiała, widząc przed sobą Daniela.

- Byłem przekonany, że jeszcze śpisz - powiedział.

- A ja sądziłam, że siedzisz w biurze.

Zaraz po tych słowach zapadła krępująca cisza. Wspomnienie poprzedniej nocy wciąż jeszcze było zbyt żywe.

Lilii zerknęła ponownie na Daniela i twarz jej się rozpromieniła.



- Wybrałeś się na zakupy?

Spojrzał na wieńce i wzruszył ramionami.

- Owszem.

Lillian wyciągnęła przed siebie koszyk.

- Ja też - oznajmiła z dumą.

260

W tym momencie Daniel uświadomił sobie, że nie dał

jej złamanego centa. Poczul się idiotycznie. Tyle że po jej ostatniej tyradzie nie bardzo wiedział, jak zaproponować zwrot za poczynione zakupy. Przez chwilę więc wbijał

wzrok w jej koszyk, po czym powiedział:

- Nie jestem pewien, czy powinienem podnosić ten temat po naszej wieczornej sprzeczce, ale właśnie zdałem sobie sprawę, że nie dałem ci żadnej gotówki.

Lillian tymczasem pilnie unikała jego spojrzenia.

W końcu westchnęła głęboko.

- Zastawiłam w lombardzie złotą broszkę - wyznała.

- Twoje skrzydełka?

Skinęła głową i Daniel nie zdołał się powstrzymać od jęku. Chwycił ją gwałtownie za ramię.

- Gdzie ten lombard?

Lillian wyciągnęła palec.

- Przy tej ulicy, kilka przecznic stąd.

- Idziemy. - Ruszył przed siebie, pociągając za sobą dziewczynę.

- Powinnaś była raczej zastawić kolczyki.

- Nie mogłam tego zrobić.

- A to czemu, u diabła?

- Bo nie były dla mnie równie cenne jak broszka.

Zatrzymał się jak wryty i spojrzął jej prosto w oczy.

- No, to rzeczywiście wyjątkowo logiczne wytłumaczenie - rzucił sarkastycznym tonem.

- Logika nie miała z tym nic wspólnego. Nie pytaj mnie o przyczyny. Dla mnie, być może z kompletnie idiotycznych powodów, takie postępowanie było właściwe!

Pół godziny później znaleźli się przy sklepie oznaczonym trzema białymi kulami i szyldem głoszącym „Lombard Murry'ego”. Po paru minutach D.L. przypinał złote skrzydełka do sukni Lillian. Ledwo to zrobił, pogłaskała delikatnie broszkę.

- Dziękuję - szepnęła.

261

Daniel, czując się bardzo nieswojo, wsunął ręce do kieszeni i odwrócił wzrok.

- Chciałabyś mieć drzewko? - spytał po chwili.

Odpowiedziała mu uśmiechem tak ciepłym, że mógłby stopić najtwardszy lód.

Po kolejnych dwóch godzinach powóz wyjeżdżał

z targowiska. Do jego dachu przywiązany był dorodny świerk, a z przegrody na bagaże wychylały się gałęzie wawrzynu, bluszczu, ostrokrzew i jemiola. Obok Lili, na siedzeniu, spoczywały koszyki pełne świeżych kwiatów i żurawinowych jagód. W ręku trzymała figurkę anioła.

- Jest śliczna, prawda? - pytała raz po raz.

- Tak. Zachwycająca - odpowiadał z pełnym przekonaniem Daniel, nie spuszczać z Lillian wzroku.

Chwilę później zerknęła przez okno i aż zabrakło jej tchu z wrażenia. D.L. poszedł za jej wzrokiem i zobaczył

niemiecką piekarnię, z wystawą udekorowaną przepięknymi figurkami z piernika.

Natychmiast zastukał w sufit powozu.

- Zatrzymaj tu, Benny.

Wyskoczył na chodnik, po czym pomógł wysiąść Lillian.

Dziewczyna dobiegła do wystawowego okna. Na piernikowych domkach i pałacach srebrzyście połyskiwał lukier. Żołnierze z piernika, w pełnym umundurowaniu, galopowali na koniach o cukrowych grzywach, a piernikowe kobiety dźwigały przed sobą koszyki pełne marcepanowych gruszek i jabłek, kielbasek i szynek, a także małych laleczek oraz śmiesznych zwierzątek.

Po kilku kolejnych zakupach, Daniel i Lili opuścili piekarnię. Lillian natychmiast podarowała Benny'emu piernik w kształcie królewskiej karocy. Ta dziewczyna zawsze stawiała innych ludzi przed sobą. Nie pożyła bogactwa ani klejnotów. D.L. doszedł do wniosku, że nie ma takiej materialnej wartości, która byłaby dla niej istotna.

262

Ledwie to pomyślał, Lili spostrzegła handlarzy zwierzętami. Małe szczeniaki o kłapciatych uszach i różowych języczkach, z czerwonymi kokardami zawiązanymi wokół szyi wychylały się z niewielkiego koszyka. Lillian pisnęła z radości, po czym biegiem rzuciła się w stronę szceniąt - niczym dama z rodziny Vanderbiltsów ruszająca na wyprzedz do Tiffany'ego.

- Tylko popatrz na nie, Danielu!

Chcąc nie chcąc zwrócił spojrzenie na pieski. Ale to nie szczeniaki oblizywały twarz Lili, tylko kocięta i małe króliczki wychylające się z innych koszyków.

Spojrzał na Lillian i pomyślał, że byłby najszczęśliwszy, gdyby każdego dnia mógł sprawiać jej taką radość.

Lili. Dziewczyna, która przedkładała małe pieski nad brylanty. Kocięta nad perły. Króliczki nad...

Zerknął na nią i gwałtownie wykrzywił usta.

- Tylko nie króliki, Lillian. Zgadzam się na szczenięta.

I na... kocięta. Ale, błagam, oszczędź mi królików.

Króliki co rusz skubały sznurowadła butów Daniela.

Lilii, oblężona przez szczeniaki, rozsiadła się w fotelu.

Na poręczach i na oparciu fotela usadowiły się kocięta pomrukujące z zachwytem. Dziewczyna nawlekała na sznurek żurawinowe jagody, raz po raz posyłając Danielowi radosny uśmiech.

Daniel tymczasem klęczał obok mosiężnego kubła napełnionego mokrym piaskiem, próbując umocować w nim bożonarodzeniowe drzewko. Już po raz trzeci usi

łował ustawić prosto zielony świerk.

- Wydaje mi się, że teraz jest idealnie - oznajmiła Lillian.

Daniel odsunął się kilka kroków, łypnął ze złością na dwa brązowo-białe króliki, po czym krytycznie spojrzał

na świerk.

- Jeszcze trochę bardziej w prawo - zdecydował.

Zniecierpliwiona Lilii przewróciła oczami, po czym za-więzała gruby węzeł na sznurku pełnym nanizanych żurawin. Salon przypominał pobożowisko. Na środku ko-bierca z Savonnerie stała misa pełna prażonej kukurydzy od której ciągnął się biały ślad aż po wiadro z drzewkiem.

Króliki zaś pilnie skubały pulchne ziarna, które przywarły do podeszew butów Daniela.

Kawałki wstążek i kolorowej nici zostały rozwleczone po całym pokoju przez rozbrykane szczeniaki i zręczne kocięta 264

I opasywały też kanapy projektu Williama Kenta, sprawiając wrażenie, jakby właśnie przed chwilą przewaliła się przez salon maskarada. Tuż obok haftowanych poduszek, będących niegdyś własnością Marii Antoniny, piętrzyły się gałęzie świerkowe i sosnowe oraz girlandy z wawrzynu i cedru, przewiązane wielkimi, czerwonymi kokardami.

Cały parter rezydencji Stewartów był przesiąknięty żywicznym aromatem Bożego Narodzenia. Kiedy zegar na kominku wybił jedenastą wieczorem, drzewko stało już udekorowane, a z frontowych okien domu zwieszały się zielone girlandy. Przewiązane czerwoną wstążką gałęzie sosny i świerku, cedru i ostrokrzewu, znalazły się nad każdym lustrem i większym obrazem oraz opasywały podstawy kandelabrow.

Na stołach królowały bukiety z czerwonych róż i najpiękniejszych białych lilii, jakie Lillian widziała w życiu.

Króliki, szczeniaki i kocięta zostały już zapakowane do swoich koszyków, ustawionych pod drzewkiem, by mogły odpocząć po wyczerpujących wieczornych harcach.

- Teraz wreszcie widać, że nadeszły święta - oznajmiła Lili, chwytając się pod boki.

Tymczasem Daniel stał obok niej pogrążony w milczeniu, a na jego twarzy malował się wyraz tak wielkiej samotności, że na moment zabrakło jej tchu.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ramienia. Nagle poczuła, że to właśnie musi zrobić. Że tylko w ten sposób zdoła uwolnić jego ważne wspomnienia.

- Danielu - wyszeptała.

Nie odpowiedział, nie poruszył się i dopiero po dłuższej chwili spojrzał na nią tak, jakby niespodziewanie przybyła z zaświatów.

Lillian tymczasem bacznie wpatrywała się w jego twarz, szukając jasnych odpowiedzi, w zamian jednak zobaczyła spojrzenie zdruzgotanego człowieka, przepełnionego bólem i obawą oraz innymi głębokimi emo-265

cjami, tak osobistymi, że nie mogła znieść myśli, iż ktokolwiek inny mógłby ujrzeć podobny wyraz twarzy Daniela.

- Co się stało? - zapytała z przestrawieniem.

Natychmiast wcisnął ręce do kieszeni, ruchem, który od pewnego czasu był jej już dobrze znany. Nie miała też wątpliwości, że w tym momencie dłonie Daniela zacisnęły się w pięści.

Ostatecznie, przez lata, ten mężczyzna zdążył dobrze się nauczyć, jak ukrywać swoje najskrytsze uczucia.

- Od czasu gdy ukończyłem trzynaście lat, nie miałem bożonarodzeniowego drzewka - wyznał po chwili, unikając wzroku Lillian.

Patrzyła na niego, czując jak serce jej się ściska.

- Czy chciałbyś mi o tym opowiedzieć?

- Nie. - Gwałtownie pokręcił głową. - Tak naprawdę nie chodzi o choinkę jako taką. Po prostu najpierw nie miałem czasu, by zawracać sobie głowę świętowaniem, bo byłem zbyt zapracowany, potem natomiast... - wzruszył

ramionami - ...potem już mi na tym nie zależało.

- Nie sądzisz, że powinniśmy o tym porozmawiać?

- Nie. - Roześmiał się gorzko.

- Natomiast mnie się wydaje, że powinniśmy.

Spojrzał na nią ostro.

- A to czemu?

Lilii postanowiła być tak samo uparta, jak i on. Przedrzeźniając go, stanęła wyprostowana i skrzyżowała ręce na piersi.

- Zgadnij - rzuciła wojowniczo.

Daniel nie śmiał spojrzeć jej w oczy, więc natychmiast cofnął się w cień. Na wszelki wypadek dodatkowo odwró-

cił się do Lilii plecami.

- Nie urodziłem się bogaty. Ciężko pracowałem na każ-

dego centa. Nie ukrywam jednak, że to, co od ciebie usłyszałem, pobudziło mnie do myślenia, kim jestem, dlacze-266

go się znalazłem na tej ziemi, czy rzeczywiście pieniądze stały się najważniejszą wartością w moim życiu. - Niespodziewanie spojrział jej w oczy. - I nagle doszedłem do wniosku, że to ty masz rację. Rzeczywiście w którymś momencie zacząłem przedkładać pieniądze nad wszystko.

Mój ojciec zginął w wypadku. Matka straciła życie dwa tygodnie później. Została zamordowana, gdy szukała pracy. Nikt nie umiał mi wyjaśnić, co tak naprawdę się stało.

Policja podejrzewała, że był to napad rabunkowy.

Przez jakiś czas mieszkałem z dziadkiem, ale on wkrótce miał wylew. Najtragiczniejsze, że bez względu na to, jak ciężko pracowało każde z nich, nigdy nie mieliśmy dość pieniędzy. Z dzieciństwa pamiętam jedynie, że wszyscy, których kochałem, nagle zniknęli z mojego życia, i że gdy jeszcze żyli, niewiele czasu mogliśmy spędzać razem, oni bowiem cały czas harowali.

Daniel powiódł spojrzeniem po pokoju, na ułamek sekundy zatrzymując oczy na każdym cennym przedmiocie.

- Kiedy pochowałem dziadka poprzysięgłem sobie, że zarobię taką masę pieniędzy, by nigdy nie musieć pracować równie ciężko, jak moja rodzina - powiedział, po czym za

śmiał się gorzko. - Tymczasem dzisiejszego rana zdałem sobie sprawę, że moje życie niewiele się różni od ich harówki.

Niemal każdą minutę poświęcam pracy. Tyle że zarabiam o wiele więcej niż oni wszyscy razem wzięci - prawdę mówiąc tak dużo, że nigdy nie zdołam wydać swojej fortuny.

- Danielu, bardzo żałuję, że dręczyłam cię wymówkami.

- Niczego nie żałuj. Ktoś wreszcie musiał mi uświadomić, co tak naprawdę robię ze swoim życiem.

Lillian czuła się fatalnie - miała ochotę podbiec do Daniela i objąć go z całej siły, ale zabrakło jej na to odwagi.

- Czy moglibyśmy zacząć wszystko od nowa? Bez żadnych zakładów, wyzwania i umów? I żadnych pytań.

Chciałbym ci jedynie powiedzieć, Lili, że możesz tu pozostać tak długo, jak zechcesz.

267

Nie miała pojęcia, co na to odpowiedzieć.

- Nie opuścisz mnie? - zapytał.

Każda bliska osoba w ten czy inny sposób zniknęła z jego życia. Nagle Lillian pojęła istotę samotności tego człowieka.

Nie mogłaby już od niego odejść. Nie teraz, gdy wreszcie zrozumiała, że Daniel stał się częścią jej samej. I że w głębi serca pragnie na zawsze pozostać u jego boku.

Spojrzała mu więc prosto w oczy i oznajmiła:

- Nigdy z własnej woli cię nie opuszczę.

W oczach Daniela pojawił się błysk ulgi, a na ustach pojawił się figlarny uśmiech.

Powędrowała za jego spojrzeniem - pod wielkim, kryształowym kandelabrem zawieszono okazałą kulę jemioly.

Jednym krokiem Daniel znalazł się przy Lili i przycisnął usta do jej warg w długim, namiętym pocałunku.

Ona zaś zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniła poca

łunek, rozkoszując się jego smakiem.

Trwało to jedną chwilę i całą wieczność zarazem.

W końcu Daniel oderwał się od Lillian. Przycisnęła policzek do jego piersi, D.L. zaś oparł brodę na czubku jej głowy. W uszach dudniło mu własne przyspieszone tętno.

- Ile razy cię całuję, ogarnia mnie przedziwne uczucie

- wyznał w końcu. - Jak gdyby w mojej głowie dźwięcza

ły srebrne dzwonki.

Lillian wcisnęła głębiej twarz w jego koszulę.

- Może więc powinieneś częściej mnie całować - powiedziała cicho.

- A może po prostu ty powinnaś szybciej powędrować do łóżka - odparł Daniel i wypuścił ją z objęć.

Lilii uśmiechnęła się słodko i ruszyła w górę po schodach, czując na sobie jego gorący wzrok. Zatrzymała się na podeście i odwróciła na chwilę.

- Czy wiesz, jakie powiedzenie wiąże się z dźwiękiem 268

dzwonów? - spytała niespodziewanie. - Ilekroć zadzwięczy dzwonek...

- Jakiś anioł dostaje skrzydła i aureolę - dokończył za nią z uśmiechem Daniel.

Dwa następne dni spędzili tylko we dwoje.

Jeszcze raz poszli do parku na łyżwy. Wmieszali się też w tłum w okolicach Broadwayu, kiedy ogłoszono, że aż do świąt domy towarowe będą otwarte do późnej nocy, by obsłużyć wszystkich klientów, zbyt zapracowanych, by mogli zrobić zakupy w ciągu dnia.

Wraz z setkami innych mieszkańców Nowego Jorku przyglądali się zapaleniu dwustu gazowych lampek na choince, którą potem wciągnięto do kościoła Świętej Trójcy. Na gałęziach drzewka wisiały prezenty ufundowane przez D.L. Stewarta dla dzieci z pobliskiej ochronki dla sierot.

Jednak najpiękniejszy prezent Lillian otrzymała od Daniela w świąteczny wieczór.

- Biegnij do jadalni - zarządził. - Zaraz do ciebie przyjdę. Po prostu o czymś zapomniałem.

Lillian zeszła po schodach, podśpiewując pod nosem

„Miasteczko Betlejem”, trzymając pod pachą dwójkę rozbrykanych szceniąt.

Kiedy stanęła na ostatnim stopniu usłyszała głośnie

„hopla!”.

Chwilę później, śmigając po poręczy, minął ją roze

śmiany Daniel. W tym samym momencie Gage, zaalarmowany dzwonkiem, podszedł, by otworzyć frontowe drzwi.

Daniel jednak nie przejął się tym i zatrzymał się dopiero na marmurowych schodach prowadzących na ulicę.



A ściślej mówiąc, zatrzymał się po zderzeniu ze swoim przyjacielem i adwokatem zarazem, Karlem Willisem.

269

- Wolę się nie zastanawiać, kiedy znowu będę mógł

wygodnie usiąść na krześle - oznajmił D.L., wręczając Karlowi drinka.

Karl wziął szklankę od przyjaciela.

- Nie zjawiałeś się na przyjęciu u Van Clevesów - zauważył karcącym tonem.

D.L. zakręcił swoją szklanką pełną najlepszej whisky.

- Rzeczywiście - przyznał bez wahania.

- A tymczasem był tam Prescott.

- Zadzwoń do niego w przyszłym tygodniu i umówię się na spotkanie.

- Zupełnie nie pojmuję, czemu zrezygnowałeś z tak dogodnej sposobności przeprowadzenia z nim zasadniczej rozmowy. Ten człowiek chce zainwestować niewyobrażalną fortunę.

D.L. pomiął milczeniem uwagę swego prawnika.

- Czy już doprowadziłeś do podpisania ugody? - zmienił temat Karl, posyłając Danielowi znaczące spojrzenie.

- Powiedziałem, że się tym zajmę, więc to zrobię.

- Chciałbym, żebyś mi coś wyjaśnił.

- Co takiego?

- Kim tak naprawdę jest dla ciebie ta dziewczyna?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- A ja jestem przekonany, że cholernie dobrze wiesz.

- Trzymaj się od niej z daleka, Karl.

- Nigdy nie widziałem, abys zachowywał się w podobny sposób wobec jakiegokolwiek kobiety!

- Bo ona jest inna od wszystkich. Chociaż nie umiem ci tego wyjaśnić.

Daniel odkrył to tego wieczoru, gdy jechali na koncert.

Lillian wyglądała oszłamiająco, była jednak zbyt cicha i nieśmiała, żeby jeszcze kiedykolwiek narażać ją na kontakt z bezdusznym tłumem. To tak, jakby przedniej jakości srebro wystawiać na działanie wszelkich możliwych żywio-

łów natury. Wśród jego znajomych traciła radość i blask, on 270

zaś odczuwał wręcz obsesyjną potrzebę, by ją chronić przed wszystkim, co mogłoby ranić, pozbawić uśmiechu.

Karl odstawił szklankę i poderwał się z fotela.

- Nie czuję się na siłach być twoim sędzią. Choć przyznaję, że jestem bardzo zaniepokojony - zarówno jako twój przyjaciel, jak i prawnik.

- Nie masz po temu najmniejszych powodów. W pełni panuję nad sytuacją.

- Czy zobaczymy się w najbliższym czasie w klubie?

Daniel pokręcił głową.

- Dopiero po świętach - odrzekł.

Karl położył dłoń na klamce, po czym raz jeszcze spojrzął na przyjaciela.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Zaufaj mi. Wszystko będzie w porządku - zapewnił

D.L.

Choć w tej chwili nie umiałby zdecydować, czy te słowa miały przekonać Karla, czy może raczej jego samego.

Zegar stojący w holu na parterze wybił właśnie drugą.

Daniel nadal tkwił w bezruchu; bał się nawet głębiej.

odetchnąć. Lillian stała przy oknie swojej sypialni, wpatrywała się w błyszczący księżyc i naprawdę wyglądała jak anioł, za którego się podawała.

- Widzę, że też nie możesz zasnąć - powiedział cichym głosem.

- Nie mogę - przyznała, kręcąc głową.

Choć nie patrzyła na niego, wiedział, że gdy tylko wszedł do jej pokoju od razu zdała sobie sprawę z jego obecności. Od samego początku połączyła ich jakaś niewidzialna, niewytłumaczalna więź.

Miał tego świadomość, bo on też wszystkimi zmysłami

/,awsze wyczuwał, gdy znajdowała się w pobliżu, a na dodatek ogarniało go wówczas przeświadczenie, że oto odnalazł jakąś zagubioną część siebie.

271

Przeszedł przez pokój i stanął naprzeciwko Lili. Nic odsunęła się, tylko głęboko spojrzała mu w oczy.

Wyciągnął rękę i odgarnął kosmyk włosów z jej oczu, a potem dotknął policzka. Wyjątkowa miękkość skóry i przejrzystość cery uświadomiły mu, jak kruchą istotę ma przed sobą.

Delikatnie zaczął wodzić palcami po jej twarzy. Jeszcze nigdy w życiu nie dotykał w ten sposób kobiety. I nigdy też nie czuł tak wielkiej potrzeby, by zapamiętać każdy szczegół tej chwili.

Musnął ustami jej wargi - tylko raz i bardzo delikatnie.

Ale już chwilę później ich pocałunki stały się gorące i namiętne. Daniel był spragniony smaku jej skóry, jej zapachu, dźwięku jej głosu i radosnego śmiechu.

Dotknął jej piersi, a po chwili zaczął muskać sutki, zachwycony, że tak podobają jej się te pieszczoty.

- Danielu... - Jej senny szept sprawił, że zapragnął Lili jeszcze bardziej.

Miała na sobie jego koszulę - i nic poza tym. Rozpiął

niepostrzeżenie jeden guzik, potem parę następnych, i koszula opadła na ziemię. Ujrzał przed sobą idealne, szczupłe ciało o bardzo jasnym kolorycie.

Chwilę później i on stał nago w bladej poświacie księ

życa. Chwyił mocno Lillian w talii, po czym uniósł, by wargami pieścić jej piersi, brzuch, uda.

Położył ją na łóżku, nie przerywając pocałunków. Teraz wędrował ustami z powrotem w górę, aż w końcu znów dotarł do jej warg.

Od czasu do czasu oboje wyrzucali z siebie urywane zdania:

- Proszę, Danielu...

- Lili, najdroższa Lili, pozwól mi...

Przesunął się nieznacznie i zaczął się w nią zagłębiać, po chwili jednak zamarł w bezruchu.

- Na Boga... - Czas jakby się zatrzymał. Spojrzał jej 272

w twarz, a potem jęknął głośno. - Widzę, że nie udało ci się upaść zbyt nisko.

W odpowiedzi chwyciła go mocno za ramiona i powoli otworzyła oczy.

Daniel znów rozpoczął pieszczoty, by na nowo obudzić w niej namiętność.

A wtedy wszedł w nią zdecydowanym ruchem. Lillian jęknęła i rzuciła się na poduszce. Daniel znieruchomiał, bojąc się, że sprawia jej ból.

- Lili. Spójrz na mnie.

Powoli uchyliła powieki.

- Wszystko w porządku?

Skinęła głową, a potem delikatnie powiodła palcem wzdłuż jego warg z wyrazem miłości w oczach.

Zaczął poruszać się bardzo delikatnie i powoli, przez długie minuty, pilnie wpatrując się w jej twarz, aż w końcu Lili podchwyciła jego rytm i wówczas oboje stopili się w jedno.

Lili stała przy łóżku i wpatrywała się w śpiącego Daniela.

W domu panowała cisza. Ogień w kominku już się dopalał, ale chłód, który ją ogarnął, nie miał nic wspólnego z rześkim powietrzem. Nagle zrozumiała, że jej życie w raju było pozbawione sensu. Nabrało treści dopiero na ziemi. Gdzie zdołała dokonać cudu.

Daniel. Cudem odmieniła jego serce.

Jakaż okrutna ironia kryła się w tym, że ta jedyna rzecz, której nie mogła zrobić w niebiosach, tutaj przychodziła jej z dużą łatwością.

Zastanawiała się, czy teraz powróci do raju. Czyżby naprawdę mogło spotkać ją coś tak strasznego? Bardzo chciała wierzyć, że to niemożliwe. Zdała sobie sprawę, że jeśli będzie musiała stąd odejść, wieczne życie stanie się dla niej pasmem niekończącej się udręki, straci dla niej 273

cały urok. Bo Daniel ją pokochał - szczerze i całym sercem.

A co czeka jego? Lillian zakryła dłonią usta, by nie krzyknąć z bólu. Wyobraziła sobie, jak bardzo będzie cierpiał, gdy ona odejdzie i zniknie z życia tego mężczyzny, który już utracił wszystkich swych najbliższych. Dobry Boże, jego cierpienie będzie ją nękać przez całą wieczność.

Ze względu na Daniela modliła się, żarliwie prosząc, by dane jej było tu pozostać - choć przeczuwała, że jej słowa nie zostaną wysłuchane. Opadła na kolana i zacisnęła dłonie. Czy zaciskając je tak silnie, chciała wzmocnić swe błagania, czy wierzyła, że w ten sposób może pozostać w obecnym życiu?

Tak czy owak, nic nie pomagało. Lillian czuła to w głębi duszy. Miała wrażenie, że powoli odchodzi z tego świata, blaknie i gaśnie.

Tak bardzo pragnę tu zostać... Proszę... Błagam...

Przywarła twarzą do złożonych dłoni i cicho zaszczoła.

Tymczasem gdzieś z oddali dobiegł dźwięk kościelnego dzwonu.

I w tym samym momencie Lillian zniknęła.

Gdzieś w oddali zadźwięczały dzwony i zapewne to właśnie go obudziło. Otworzył oczy i wyciągnął ramię, by dotknąć Lili. Ale natrafił jedynie na puste prześcieradło.

Zaczął nasłuchiwać, czy z łazienki nie dobiegają jakieś odgłosy, ale wokół panowała cisza. Chciał pójść do Lili, ale doszedł do wniosku, że może potrzebuje chwili samotności.

Założył ręce za głowę i wbił wzrok w baldachim łoża. Pierwszy raz w życiu ogarnęło go poczucie idealnego spokoju.

Jedna noc mu nie wystarczy.

Nigdy dotąd nie zamierzał się żenić. Teraz jednak nabrał przekonania, że chce spędzić z Lili resztę swoich dni. Uśmiechnął się, przepełniony radością i miłością.

Zamknął oczy, czekając na ukochaną kobietę.

Nie miał pojęcia, jak długo spał. Pięć minut? Pięć godzin? W każdym razie po przebudzeniu zdjął go niewytłumaczalny lęk.

Odrzucił kołdrę i zerwał się na równe nogi, po czym zajrzał do ubieralni Lili. Drzwi do łazienki były otwarte, ale panowała w niej cisza.

Serce podskoczyło mu do gardła.

Wpadł do środka. Zobaczył kosze, w których spały króliki, kociaki i szczenięta. Lillian tu jednak nie było.

- Lili? - zawołał, wbiegając do łazienki. Odpowiedzia

ło mu jedynie senne miauczenie któregoś z kociąt.

275

- Lili! - wykrzyknął ponownie i zaczął się pospiesznie ubierać.

Z hukiem otworzył drzwi sypialni i wyskoczył do holu.

Zatrzymał się na podeście.

- Lili! - wrzasnął na całe gardło.

Jej imię poniosło się echem po wielkim domu.

W tym momencie Daniel już wiedział, że Lillian nie odpowie na jego wołanie. Czuł to w głębi duszy,

bowiem owo magiczne poczucie łączącej ich więzi zniknęło.

Błyskawicznie, niewytłumaczalnie. Jakby Pan Bóg strzelił palcami.

Spojrzał na swoją dłoń zaciśniętą kurczowo na poręczy, po czym osunął się na stopień schodów. Przez długi czas siedział w kompletnym bezruchu. Wszystko, czym był, ca

ła radość życia nagle go opuściła i w końcu poczuł, że jest jedynie pustą, wypaloną skorupą o kształcie człowieka.

Oparł głowę na rękę i kilka razy głęboko odetchnął.

-Lilii...

Po raz ostatni wymówił jej imię ledwo dosłyszalnym szeptem.

- Do diabła, Karl! Zapomnij wreszcie o tej cholernej ugodzie! - D.L. obrócił się w fotelu i spiorunował wzrokiem przyjaciela. - Nic mnie nie obchodzi ten papier! Zrozum to wreszcie!

W jego głosie pobrzmiwały desperacja i przerażenie.

Czas uciekał. Minął już cały jeden dzień. A Daniel nie mógł jej znaleźć. Nikt nie mógł jej znaleźć. Nikt nie widział, jak wychodziła. Nikt nic nie słyszał.

- O niczym innym nie marzę, tylko żeby się zjawiała.

I nawet niech mnie skarży o wszystkie pieniądze świata! -

Odwrócił się w drugą stronę i patrzył tępo w przestrzeń.

- Przynajmniej wtedy wiedziałbym, gdzie jest.

Karl podniósł się z krzesła, wziął teczkę i zamknął ją z trzaskiem. Stał przez chwilę w milczeniu, po czym mruknął: 276

- Przykro mi, D.L.

Daniel nie odpowiedział. Drzwi zamknęły się cicho, a parę minut później rozległ się turkot odjeżdżającego powozu Karla.

Daniel tymczasem wciąż siedział w bezruchu, wpatrując się w śnieżną zamieć za oknem i przywołując wspomnienia. Lilii stojąca pod drzewem, obsypana taką masą śniegu, że przypominała bałwana. Jej błyszczące oczy.

Marszczenie noska. Radość na widok pierników w piekarni i koszyków ze zwierzętami.

Przypomniawszy sobie pocałunek pod jemiolą - jakże słodki. Świąteczne girlandy. Figurkę anioła

zdobiącą czubek bożonarodzeniowego drzewka. I twarz innego anioła -jedyne go anioła, jakiego spotkał w życiu.

Wyszedł z biblioteki i powlókł się na górę po schodach.

Podszedł do sypialni Lili i z wahaniem położył rękę na klamce. Cień bezsensownej nadziei sprawił, że Daniel wstrzymał oddech z wrażenia, gdy otwierał drzwi.

Nadzieja natychmiast się rozwiała. Lillian tu nie było.

Coś jednak kazało mu wejść do środka.

Powitały go cztery szczeniaki, trzy kocięta i dwa króliki. Daniel spojrzał na wielkie łożo. Jedwabna koszula leża

ła w tym samym miejscu, w którym jeszcze niedawno spoczywała Lillian - gdy świat był piękny, a jego rozpiera

ła energia i radość życia. Gdy przez chwilę mógł się cieszyć miłością Lillian.

Teraz pozostało mu tylko to. Daniel wyciągnął rękę i dotknął delikatnego materiału, zdjęty idiotycznym lękiem, że i ta koszula zaraz zniknie.

Nie zniknęła. Podniósł ją i usiadł w fotelu, bezmyślnie wpatrując się w biały jedwab.

Wciąż czuł subtelny, cytrusowy aromat. Zapach pozostał, ale Lillian już nie było.

Jeden z szczeniaków wdrapał mu się na kolana, za nim dwa następne. Pierwszy miał coś w pyszczku. Daniel za-277

uważał złotą broszkę. Skrzydełka Lili. Zacisnął je mocno w dłoni, jakby były talizmanem, który zdoła sprowadzić ją z powrotem do jego domu.

*Przyleć do mnie, mój aniele.*

Daniel ukrył twarz w jedwabiu koszuli i zaczął płakać.

- Lili znów na niego patrzy. Nieustannie go obserwuje.

Święty Piotr zatrzymał się i spojrzał na Floridę.

- A czy przestała płakać?

Florie przecząco pokręciła głową.

Święty Piotr westchnął głęboko, po czym zaczął wędrować wśród chmur, a Florie ruszyła za nim z trzepotem skrzydeł. Zatrzymali się w pobliżu obłoku, na którego skraju klęczała Lillian, spoglądając



w dół. Jej aureola utraciła blask, a skrzydła zwisały smętnie na podobieństwo zwiędłych płatków róży.

Lilii podniosła głowę i ujrzała tamtych dwoje. Po policzkach leciały jej łzy,

- Jest w parku. Nawołuje mnie w myślach.

Święty Piotr wychylił się poza obłok.

- W rzeczy samej.

Przygryzł wargę i przez chwilę przyglądał się Danielowi, który błędził po parku, ze spuszczonej głową i rękami wci

śniętymi w kieszenie, nie zważając na gęsto sypiący śnieg.

- Jest taki samotny i zagubiony. Czy nie mogłabym mu jakoś pomóc? Czy ty, panie, nie mógłbyś czegoś zrobić?

Jest sam jak palec na tym świecie.

Święty Piotr posłał jej surowe spojrzenie.

- Niektórzy ludzie muszą kroczyć kamienistą drogą, Lillian.

Lilii spojrzała na niego nieśmiało.

- Nigdy nie rozumiałam, czym jest raj, póki nie spotkałam Daniela.

Święty Piotr zerknął na Floridę, która też zalała się łzami.

Zdenerwowany, dał jej znak ruchem dłoni, żeby odleciała.

278

Lillian, wstrząsana szlochem, znowu zaczęła patrzeć w dół.

- Jest teraz w kościele. Modli się. Słyszysz go, panie? -

Urwała i przekrzywiła głowę. - Bo ja świetnie słyszę jego prośby.

Święty Piotr przysiadł na skraju chmury. Spojrzał na rozciągający się w dole świat, po czym skoncentrował

uwagę na jednym nieszczęśliwym mężczyźnie.

Milczał przez dłuższą chwilę, w końcu przeniósł wzrok na Lilii. Po kilku minutach, które zdawały się wiecznością, odchrząknął i odezwał się szorstkim głosem:

- No dobrze, Lillian. Opowiedz mi o tym młodym człowieku.

Daniel szukał już wszędzie. Wrócił do niemieckiej piekarni i długo stał przed witryną. Godzinami przesiadywał

na tej samej ławce w parku, łudząc się nadzieją, że nagle ujrzy Lilię biegnącą przez zasy, z kapeluszem podskakującym na plecach. Marzył o tym, by usłyszeć jej radosny śmiech.

Przeczesywanie Washington Market również nie przyniosło rezultatu. Daniel dotykał wszystkich dzwonek wystawionych na sprzedaż i wypytywał napotkane dzieci, czy przypadkiem nie widziały Lillian. Była równie nieuchwytna jak Święty Mikołaj. Zachodził do wszystkich kościołów i modlił się żarliwie, ale najwyraźniej nikt nie chciał wysłuchać jego prośb.

O północy, w Wigilię Bożego Narodzenia, ruszył piechotą do opery, nie zważając na chłód i padający śnieg. Tej nocy wystawiano *Mesjasza* Haendla. Kręcił się wśród tłumu, póki wszyscy nie zniknęli we wnętrzu. Co rusz sięgał

do kieszeni, wrzucając monety i banknoty do każdej po

iętej, pordzewiałej puszki wyciągającej się w jego stronę.

Śnieg padał coraz bardziej, wzrastał wiatr. Daniel wrzucił złotą monetę do starej, emaliowanej miseczki stojącej 279

obok łaski niewidomego, zakutanego w połataną odzież. Spojrzał uważnie na starego człowieka i powiedział po chwili:

- Zamieć się wzmacnia. Czy macie dokąd iść?

- Mieszkam w pobliżu Grand Street, na wschód od Bo-wery.

Niewidomy spróbował się podnieść. Wówczas Daniel spostrzegł, że tamten nie ma rękawic na powykręcanych reumatyzmem dłoniach.

Pomógł staruszkowi wstać, po czym podniósł powyginaną, emaliowaną miseczkę i wsunął w zmarznięte dłonie mężczyzny. Odwrócił się i wyjął z kieszeni gwizdek, by przywołać dorożkę.

Rozległ się ostry gwizd i dorożkarz podjechał. Daniel otworzył przed staruszką drzwiczki.

- Zapłaciłem dorożkarzowi, żeby dowiózł was pod sam dom - powiedział, pomagając niewidomemu mężczyźnie wsiąść do środka.

Spojrzał na jego pobrużdżoną twarz i głębokie zmarszczki wokół oczu, będące świadectwem wielu lat ciężkiego życia. Nie zastanawiając się wiele, zdjął z dłoni rękawice i włożył w ręce staruszka, zaciskając na nich zniekształcone palce.

- Wesołych świąt - powiedział i zatrzasnął drzwiczki dorożki. - Wesołych świąt.

Stał i patrzył, jak powóz oddala się zasypaną śniegiem ulicą, a potem odwrócił się, wcisnął zmarznięte dłonie do kieszeni i z wielką pustką w sercu ruszył w stronę domu.

Na rogu minął kobietę z Armii Zbawienia energicznie potrząsającą dzwonkiem. Sięgnął do kieszeni spodni i wtedy się zorientował, że ostatnie pieniądze wydał na dorożkę dla niewidomego staruszka.

Ruszył więc przed siebie, ale po paru krokach zatrzymał się i wyjął złoty kieszonkowy zegarek. Czas nie był

już istotny. Bez Lilii nic nie miało znaczenia.

280

Podszedł, wrzucił zegarek do skarbonki i znów skierował się ku domowi. Nagle jednak zdał sobie sprawę, że kobieta przestała dzwonić. Najpierw zamarł, a potem szybko się cofnął.

- Proszę cały czas dzwonić. Bardzo proszę. Bo ilekroć zadzwięczy dzwonek...

- Jakiś anioł dostaje skrzydła i aureolę - usłyszał w odpowiedzi.

- Lilii? - Raptownie uniósł głowę. Obrócił się na pięcie i zsunął z głowy kobiety kapelusz-budkę. Po jej ramionach rozsypały się srebrzyste włosy. - Lilii!

- Daniel... - szepnęła, a chwilę później była już w jego ramionach.

- Na Boga, Lilii. To naprawdę ty! - Przyciskał ją do siebie z całej siły, bojąc się, że gdy tylko wypuści ją z objęć -

Lillian znowu zniknie.

- Jestem przy tobie. Wróciłam. - Spojrzała na niego i dorzuciła pospiesznie: -I już nigdy więcej cię nie opuszczę.

- Dobry Boże. Byłem pewien, że cię utraciłem. -

Chwycił w dłonie jej twarz i zaczął pokrywać pocałunkami. - Szukałem cię wszędzie. Odwiedziłem każdy zakątek, w którym kiedykolwiek byliśmy razem. Rozdałem mnóstwo pieniędzy. Ale oddałbym dużo więcej. Oddałbym wszystko, byle tylko cię odzyskać. - Przycisnął ją jeszcze mocniej i wyszeptał: - Mój anioł.

Położyła mu palec na ustach.

- Twój anioł, Danielu?

- Mój upadły anioł. Jak to dobrze, że do mnie wróciłaś.

Uśmiechnęła się do niego, a potem zerknęła na niebiosa i mrugnęła porozumiewawczo. Wysunęła się

delikatnie z objąć Daniela i spojrzała mu prosto w oczy.

-Widzisz, Danielu, może... pamiętaj, że to jedynie przypuszczenie... ale może zamiast rozpaczać, po prostu wystarczyło zagwizdać.

## Epilog

Dziesięć lat po owym pamiętnym Bożym Narodzeniu w sercu Daniela wciąż rozbrzmiewały dzwonki, ilekroć całował żonę. Nadal też mieszkali w tej samej wielkiej, narożnej kamienicy, tyle że jej wnętrze uległo całkowitej zmianie.

Zniknęły cenne dzieła sztuki i kosztowana porcelana.

Ściany domu Stewartów pokrywały teraz niewprawne dziecięce rysunki i portrety Lili i jej córek i synów.

Najstarszej dziewczynce dała na imię Florida. Bliźnięta zostały ochrzczone jako Cherubin i Serafina - a wołano na nie Cheri i Sera. Synowie otrzymali imiona Piotr i Gabriel na cześć, jak wyjaśniła Lili, dawnych przyjaciół, którym wiele zawdzięczała.

Z domu zniknęły również francuskie antyki oraz krzesła o twardych oparciach. Na ich miejscu pojawiły się wygodne, kolorowe meble, gdzieś nadwerżone przez dzieci i ich ulubione zwierzęta. Wszystkie wnętrza były przytulne - a atmosfera prawdziwie ciepła i domowa.

Nigdzie nie uświadczyloby się żadnego gwizdka, za to wszędzie aż roiło się od dzwonek. Stały na wszystkich meblach, wisiały w korytarzach. Dzwonki stołowe i do sanek, kuranty, chińskie gongi oraz mnóstwo wybijających godziny zegarów. Do bućków dzieci i obróżek psów były poprząszywane małe dzwoneczki, a na dużym stole

w holu stał zestaw szklanych dzwoneczków i ilekroć ktoś zjechał po poręcz, uderzał w jeden z nich. Natomiast na zebrania rodzinne zwoływał wszystkich prosty, krowi dzwonek.

Bo Daniel i Lili Stewartowie obdarowali dzieci w najpiękniejszy możliwy sposób: nauczyli je wierzyć w magię, dobro i ludzi. Wpoili im wiarę, że ilekroć zadzwieczy dzwonek...

Jakiś anioł dostaje skrzydła i aureolę.